

Marta Skiera

Z pamiętnika młodej  
mężatki

Gdy się nie jest Magdą M...

17 sierpnia 2005

Wróciliśmy z wakacji. Kajtek wybiegł z samochodu pierwszy i zaczął nam coś pokazywać. A my z Piotrem popatrzyliśmy na siebie i pomyślałam sobie, że jest dobrze, jestem na swoim miejscu. Nawet to nasze warszawskie osiedle wydało mi się całkiem ładne. Chyba jestem optymistką : - ) No i jestem babą w ciąży. Po pierwszej przyrzekłam sobie, że już nigdy więcej i w ogóle. A teraz jestem i koniec kropka.

Fakt, nie podobał mi się model 2+1. Planowaliśmy z Piotrkim, że kiedyś to poprawimy, jak odpoczniemy...

Tego lata coś nam strzeliło do głowy i rzuciłam (chyba półprzytomnie) hasło: „ROBIMY:”. Tak naprawdę niewiele się zastanawiałam, liczyłam jednak, że mój mąż w tej sytuacji będzie bardziej odpowiedzialny. No a Piotrek - jak to facet - z radością podjął wyzwanie: „No to ROBIMY!!!”. Potem przyznał się, że w pełni mi zaufał. Był pewien, że ja to sobie dokładnie wszystko przemyślałam i że już nadszedł TEN czas. No i w takim obustronnym pełnym zaufaniu po prostu zrobiliśmy...

Potem pomyśleliśmy, że jeszcze możemy zrezygnować - no bo za pierwszym razem rzadko się udaje, poza tym o drugie dziecko podobno trudniej... Odetchnęliśmy z ulgą, bo przecież mamy plany, poza tym Kajtek jest wciąż taki absorbujący. No i fajnie.

A po drugie potem kupiliśmy test i były dwie kreski: różowa i niebieska. Strzał w dziesiątkę! Wybuch śmiechu, trochę strach, zdziwienie, potem duma i nie wiem jeszcze co - takie uczucie, jakby człowiek nagle wskoczył w cudze życie.

Wreszcie po trzecie poszłam do ginekologa:

- Ile lat wpisujemy w kartę, Marto?
- Niestety trzydzieści, panie doktorze - dałam do zrozumienia, jaka to ja już jestem nie pierwszej młodości.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka ty jesteś smarkata z tymi swoimi trzydziestoma latami droga Marto. - Sam miał na oko jakąś sześćdziesiątkę. - A najlepsze dopiero przed tobą.

Od razu pokochałam tego lekarza!!! Jak będę mieć chandrę, to zapiszę się do niego na wizytę : - )

Mogło się zdarzyć każdego dnia... Ja i On, czyli zwariowany poranek

Wstajemy rano: Ja - 5.50, On - 7.00. Ja, zanim przetrę oczy, wstawiam na gaz mięso, żeby się zdążyło poddusić, rozstawiam deskę do prasowania i włączam żelazko. W międzyczasie biegnę do łazienki, myję zęby, a potem biorę prysznic. Z ręcznikiem na głowie sprawdzam, czy mięso się nie przypaliło. Zanim wyschną włosy, prasuję sobie bluzkę i spodnie (z zasady nie robię tego bezpośrednio po praniu, bo nie mam czasu). Potem strój dla Małego na dzisiaj + zapasowa koszulka. Po południu będzie można z tego odczytać jadłospis, ale nieważne - rano dziecko ma wszystko wyprasowane i pachnące, no bo jeszcze niania coś sobie złego pomyśli...

Będąc wyzwoloną żoną, prasuję wszystko prócz koszul męża - to taki mój mały protest feministyczny.

Mięso dochodzi, trzeba wkroić marchewkę, rozpuścić sos z torebki... Zanim zdążę zamieszać, słyszę:

- Mamooooo!!!

Biegnę! Mały obrażony, że obudził się, a mnie nie było obok. Codzienne poranne fochy. Wytrzymuję z cierpliwym uśmiechem na twarzy, aż wreszcie dochodzimy do porozumienia: dziecko obejrzy bajkę w dużym pokoju, a ja natychmiast przyniosę danio i zrobię kakao. Mały uciszony, wstawiam mleko, kończę sos. W międzyczasie ścielę łóżko w dziecięcym pokoju, odsłaniam zasłony, wietrzę. Plac zabaw przygotowany.

Mleko!!! Cholera - przypaliło się!

Myję kuchenkę, studzę mleko, robię kakao, niosę kakao, odbieram puste pudełko po serku, wyłączam sos. Piszę niani na kartce wszystkie dyspozycje.

7.00 - wstaje On, idzie do łazienki, bierze prysznic.

Kurczę, nie zdążyłam wziąć z łazienki suszarki i pianki! Włosy pod ręcznikiem już wyschły i teraz będą takie głupawe, powykęcane w każdą stronę strąki.

Korzystając z tego, że problem fryzury sam się rozwiązał, ścielę łóżko w sypialni, wietrzę, wyglądam narzutę, składam ubrania porozrzucane wczoraj i segreguję, które do prania, a które do szafy.

On dalej bierze prysznic, w takim razie zmywam naczynia po porannej walce w kuchni i jeszcze raz czytam, co napisałam niani. Dopisuję do listy nazwę syropu, żeby się przypadkiem nie pomyliła.

Mały wciąż ogląda bajkę, chce, żebym i ja oglądała. Przytulam się na chwilkę, zerkam na jedną scenę i nagle otwierają się drzwi do łazienki! Wolna!!!

On idzie prasować koszulę.

Wbiegam do łazienki. Włosy okropne! Moczę jeszcze raz, nakładam piankę, suszę. Źle się ułożyły. Próbuję zrobić przedziałek z drugiej strony, spinka... Jest jeszcze gorzej, a On już wyprasował koszulę i wypastował buty.

Dobra, zostaję bez spinki, ale każda strona tego czegoś na głowie ułożyła się inaczej. Wybiegam z łazienki.

On gotowy do wyjścia cmoka zniecierpliwiony z fotela. Ogląda bajkę. Dwa potwory oglądają razem.

Dzwonek do drzwi - to niania!!! Szybko: majtki, biustonosz, spodnie, koszula!!!

Mały chce dokładkę kakao. On idzie do kuchni przygotować kakao, Ja biorę kosmetyczkę i zamykam się jeszcze w łazience.

Mały krzyczy, że nie chce od taty, chce od mamy!!! On się denerwuje, więc wybiegam z łazienki, żeby załagodzić konflikt. Dla świętego spokoju sama zanoszę kakao do pokoju. No bo jak od mamy, to od mamy... On cmoka i pogania.

OK, makijaż zrobię w pracy. Wychodzimy. Na klatce schodowej dopinam sandały. Jestem chyba zmęczona, czuję się, jakbym już przeżyła swój dzień, a tu o 10.00 czeka mnie telekonferencja.

Nagle On słodko przemawia:

- Wiesz co, Martusiu? Nie mogłabyś wstawać jakieś pół godziny wcześniej? Zawsze przez ciebie spóźniamy się z wyjściem...

24 sierpnia 2005

Miałam dzisiaj rozmowę z szefem. Ocena półroczna.

- No to co, Marto? Maluch już trochę podrośł, usamodzielnia się, masz więcej czasu dla siebie. Nadszedł chyba moment, żeby pomyśleć o jakimś kierunku poddyplomowym? Zawsze to podwyższenie kwalifikacji, rozwój...

„Cholera jasna! Jeszcze nic mu nie powiedziałam. Muszę to jakoś taktycznie rozegrać...”

- No nie wiem. Nie myślałam jeszcze o tym. Może to i dobry pomysł - postanowiłam dyplomatycznie ciągnąć wątek, żeby nie wypaść z rankingu dobrych pracowników. Zaczekam, aż wystawi swoją ocenę na papierze...

- No to mam dla ciebie dobrą wiadomość: napisałaś najlepiej w naszym regionie test z angielskiego, dostałaś zgodę na dalszą naukę języka na koszt firmy. We wrześniu skontaktuje się z tobą wytypowana przez nas szkoła, ustalicie terminy. Zaczynasz od października! I co, cieszysz się?

„Cholera! Cholera! Jak ja mu to powiem? Od października do kwietnia... Jeden semestr pochodzę. Gdyby wiedział o ciąży, chybaby nie inwestowali...”

- Super! Wykorzystam ten kurs najlepiej jak się da.

- Właściwie nie mam do ciebie zastrzeżeń. Plany wykonane, robota solidna, dobrze się z tobą współpracuje, ogólnie OK. Może tylko... brakuje jakiś wybitnych osiągnięć typu udział w dodatkowych projektach.

„Cholera jasna! A co ty sobie wyobrażasz, że będę siedziała po godzinach i udawała głupa, żeby mi potem prezes uścisnął rękę?! Ciesz się, że przy skrajnym niewyspaniu pracownik wyrabia ci 120% normy!!!”

- No wiesz, jak to jest... Nie mamy babci na miejscu, po południu korki, przedszkole czynne tylko do siedemnastej... Staram się, jak mogę, naprawdę...

- Dobra! Dobra! W każdym razie zarekomendowałem cię do premii. To chyba wszystko.

„Super! Premia przyda się na pieluchy...” Potem odebrałam telefon od firmy headhunterskiej z Krakowa. W zeszłym roku, jak mieliśmy falę zwolnień, wysłałam im swoje dane. Jest fajne stanowisko kierownicze w mojej branży. Wystarczy biegły angielski i siedem lat doświadczenia w tym, co robię. Niezłe warunki, praca tylko na terenie Warszawy, służbowy samochód...

Żeby zaoszczędzić czasu panu z Krakowa i sobie, od razu powiedziałam, że jestem w ciąży. No i oczywiście zupełnie inna rozmowa: pan pogratulował i powiedział, że odezwie się za rok. Na pewno uwierzę! Już dzisiaj wykasowali wszystkie moje dane z bazy. Tak to jest, gdy się nie jest Magdą M. : - ( Tak to jest, gdy się nie jest Ally McBeal ani się nie uprawia „Seksu w wielkim mieście” : - (



10 września 2005

W naszym domu panuje przeziębienie, no to co miałam robić - zjadłam na kolację trochę czosnku. W ilości śladowej, ale i tak chyba zaraz urodzę balon. Wolałabym cierpieć z powodu kataru. Ale czasu nie cofnę. Fuji!! Wszędzie czuję zapach czosnku...

Wszechogarniające i całodobowe mdłości!!! Z powodu wszystkiego, nawet łyku wody. Co za okropieństwo - w pierwszej ciąży w ogóle tego nie czułam. A teraz idzie drugi miesiąc drugiej ciąży i schudłam półtora kilograma - to chyba mówi samo za siebie. Mój żołądek na całej linii odmówił posłuszeństwa: co do niego wrzucę, to tam leży i nic się nie dzieje. Nawet nie mogę zwymiotować (bo nigdy tego nie umiałam), a to byłoby lepsze wyjście niż zamulony żołądek i do tego problem z wypróżnianiem. I paskudny ból głowy, którego nie da się niczym wyleczyć - szczególnie w moim stanie. Uff! Od mdłości do nudności i takiej prawie depresji...

Tak, druga ciąża jest zdecydowanie inna od pierwszej. Co prawda wtedy też za nic nie mogłam puścić sobie pawia, ale przynajmniej mogłam umieścić w dziennym terminarzu słowo „drzemka”!

Właśnie, drzemka! Już uwierzyłam, że coś takiego naprawdę istnieje, kiedy pierwszego września Kajtek poszedł do przedszkola. Był oczywiście mały płacz i protesty, ale ogólnie szło nam całkiem nieźle... przez tydzień. Nagle dostaliśmy telefon z przedszkola, że jest gorączka. Okazało się, że zapalenie ucha, bolące gardło, katar itd. Dopiero co wzięłam sobie tydzień zwolnienia na odpoczynek, a tu się okazało, że będę miała towarzysza niedoli.

Pikanterii dodaje fakt, że mój mążonek akurat w ten weekend musiał wyjechać w delegację. A więc dwoje niedomagających ludków zostało samych w domu, zdanych jedynie na siebie. Jak ja to lubię...

Noc oczywiście nieprzespana, bo katar przeszkadza Kajtkowi oddychać i wtedy budzi się z wściekłym płaczem. Taki już jest, że nie umie spać z otwartą buzią. Półprzytomna ładuję mu porcję kropli do nosa i każę się wysmarkać. Spryskuję pościel inhalatorem, otwieram okno dla nabrania świeżego powietrza i jakieś dwie, może trzy godziny mamy z głowy. Potem rozpoczynamy rytuał od początku i tak całą noc.

Nad ranem czuję się, jakbym wcale nie spała. Szczególnie teraz w ciąży każde zmęczenie odczuwam podwójnie. Rano oczywiście mam na siłę podnoszoną powiekę (najpóźniej 7.30) i słyszę pełną wyrzutów prośbę, żebym już wstała albo przynajmniej dała coś jeść. Bajka w telewizji i danio zapewniają mi jeszcze jakieś pół godziny spokoju, a potem już pobudki co pięć minut w śmiertelnie ważnych sprawach (na przykład muszę zobaczyć, jak samochodzik świetnie zjeżdża z pościelowej górki).

Potem śniadanie, mdłości, zmywanie, mdłości, sprzątanie, mdłości i padam na kanapę, żeby zaraz... mdłości... iść na zakupy.

Kajtek zostanie kiedyś wielkim negocjatorem. Na razie trenuje na mnie: nie założy tej koszulki, no chyba że weźmie rower... Na klatce schodowej jednak się rozmyśla i żąda zimowych butów, a już w sklepie koniecznie żąda wykupienia całego regału z czekoladą.

Wracamy, a mi słabo. Ale nic to - przecież trzeba zrobić coś do jedzenia. Próbuję zmusić Kajtka do popołudniowej drzemki. Finał jest taki, że on ogląda setną bajkę w telewizji (miała go uśpić już pierwsza), za to ja zasypiam. Mały oczywiście bardzo szybko znajduje sposób, żeby mnie obudzić:

- Pobawmy się w coś, mamo!

Dzieci są tak w ogóle słodkie, tylko czasami masz ochotę trochę je... udusić.

12 września 2005

Ciężka noc za mną. Cały czas śniły mi się katastrofy lotnicze. Przerwa na siku, potem znowu samolot. Siku i samolot. I tak w kółko aż do rana.

Wszystko przez to, że oglądałam wczoraj na Discovery wspomnienia rodzin ofiar ataku terrorystycznego z 11 września na WTC i Pentagon. Dokładnie odtworzyli ostatnie godziny pasażerów porwanych samolotów, ich rozmowy telefoniczne z bliskimi, strach, pożegnania...

To była jakaś abstrakcja! Chyba nigdy nie nakręcono tak przerażającego filmu katastroficznego, jak z tamtych wydarzeń, w których przypadkowo uczestniczyło 2749 osób...

Co powiedzieć przez telefon osobie, którą kochasz, gdy wiesz, że za chwilę zginie? Brrr!!!

Wcześniej też nie mogłam spać po relacji z tragedii w Biesłanie. Terroryci w pewnym momencie pozwolili matkom z niemowlętami opuścić okupowaną szkołę. Stały wtedy przed dylematem: zostawić starsze dzieci w tych okropnych warunkach, wśród umierających ludzi, bez wody, powietrza, nadziei i wsparcia mamy, a ratować maleńkie, które tym bardziej w tej dusznej sali długo nie wytrzymają? Czy może zostać? Próbowaly wynegocjować z terrorystami, że wyjdą starsze dzieci z młodszym rodzeństwem, a matki zostaną w środku. Nie zgodzili się.

Pewna kobieta musiała pożegnać przytuloną do niej, przerażoną sześciolletnią córkę i wyszła z jej dwumiesięczną siostrzyczką. Uratowały się! Ale starsze dziecko widziała wtedy po raz ostatni...

A Piotr mówi, że spał bez problemu. Obejrzał i koniec tematu.

Któryś tam września 2005

Trzeba korzystać z własnych doświadczeń! Sięgnęłam sobie po moje notatki z lipca 2002. Opisywałam do gazety poród Kajtka. Dostałam za to nawet nagrodę - bujaczek Bebe Comfort. Jeden taki miałam już w domu, więc go potem shandlowałam : - )

Termin porodu został wyznaczony na 6 czerwca. Oczywiście ja jako świadoma przyszła mama postanowiłam wsłuchać się w swoją naturę oraz kobiecą intuicję i przewidzieć ten WIELKI DZIEŃ.

Moje pierwsze przeczucie powiedziało mi, że urodzę 28 maja - to dzień urodzin mojego męża. Wymarzyłam sobie, że w prezencie urodzę tatusiowi dzidziusia i potem będziemy wszystkim opowiadać, jaki to wspaniały zbieg okoliczności nam się przytrafił. Minał 28 maja. I nic.

Następne przeczucie - 1 czerwca.

Dzień Dziecka, więc okazja nie byle jaka na przywitanie dzidziulka. Minał. Nic się nie wydarzyło.

\* \* \*

3 czerwca - urodziny męża bratowej. Tym razem to było jej przeczucie. Także pudło!

\* \* \*

Potem myślałam o 5 czerwca.

Wypadł, kiedy sama wyliczałam sobie termin porodu, a poza tym to był pierwszy dzień mojego urlopu macierzyńskiego. Fajnie byłoby zgrać go z narodzinami dziecka. Ale nic nie wyszło.

Nadszedł 6 czerwca.

Od rana czekaliśmy z mężem w napięciu. Nawet przez moment wydawało mi się, że poczułam lekki skurcz. Radość na naszych twarzach i oczekiwanie na następny. Nie pojawił się.

7 czerwca.

Badanie KTG wykazało lekkie, regularne skurcze macicy, ale ja nic nie czułam. Kazali powtórzyć badanie wieczorem i na drugi dzień. Od tej chwili kursowaliśmy z mężem co parę godzin po Warszawie: pomiędzy izbą przyjęć na Karowej a naszym domem w odległej dzielnicy miasta. Na zapisie KTG wciąż było widać skurcze, ale poza tym nic nie wskazywało na zbliżający się poród. Już sobie pomyślałam, że może ja jestem odporna na bóle porodowe, przynajmniej na ich pierwszą fazę. Kolejne przeczucie: koszmar porodu nie dla mnie, pewnie prawie nic nie poczuję i z uśmiechem na twarzy urodzę tego maluszka.

Nawet nie przypuszczałam, jak bardzo się myliłam...

8 czerwca - sobota, urodziny mojej teściowej. Przeczucie: dzidzius chce zrobić prezent babci. Ale cały dzień nic poza fatalnym samopoczuciem psychicznym. Wykończyły nas telefony znajomych i rodziny w stylu: „I co, nic się nie dzieje? Przecież już po terminie!”.

O rany! Niech już boli, ale przynajmniej niech się cokolwiek zacznie. To czekanie przytłacza. Gaśnie moja wiara w przeczucia.

Wieczorem jedziemy na kolejne badanie KTG. Jestem już tym zmęczona. Mam ochotę obejrzeć film w telewizji i położyć się spać. Ale na izbie przyjęć pada wyrok:

- Musimy panią zatrzymać na obserwację. Skurcze są zbyt regularne i zbyt duże, żeby ryzykować kolejną wycieczkę do domu. Wszystko może się rozegrać w ciągu paru godzin, ale też i w ciągu dni.

Dobrze, że mieliśmy spakowaną torbę. Mąż przyniósł ją z samochodu. Dał buziaka na pożegnanie (było po 22 - za późno, żeby mógł wejść ze mną na oddział) i tak trochę w smutku rozstaliśmy się tej nocy. On wrócił do domu. Będzie czekał na telefon. Ja trafiłam na oddział - patologia ciąży.

\* \* \*

9 czerwca, niedziela

Dobrze, że nie jestem sama w takim położeniu. Co najmniej kilka kobiet modli się o poród. Niektóre są już 14 dni po terminie. Co ja tutaj robię? Co prawda brzuch mam chyba największy z całego oddziału, ale poza tym czuję się zupełnie zdrowa. Więc po co mam leżeć w szpitalu? A poza tym to dopiero trzeci dzień po terminie, więc nie ma co panikować.

Większość pacjentek patologii modli się jednak, żeby nie urodzić: to dziewczyny z cukrzycą, zatruciami, zagrożoną ciążą. Niektóre leżą tu, chociaż jeszcze nie widać po nich brzuszka. Po tym, na co się tutaj napatrzyłam, zaczynam doceniać swój stan: zdrowa ciąża, zdrowy dzidzius, zdrowa mama. Zaczynam się uspokajać i wierzę, że małeństwo przyjdzie na świat w swoim czasie. Tylko niech mnie wypiszą do domu, a obiecuję, że już na nic nie będę narzekać.

10 czerwca, poniedziałek

Rano badanie ginekologiczne. Diagnoza: długa szyjka macicy - nie ma co na razie marzyć o rozwarciu, skurcze ustały. Po badaniu USG pacjentka do wypisu.

Dzwonię do męża, żeby się pochwalić tą radosną wiadomością. Teraz czekam na USG. Chyba zrobią, ale we wtorek rano. No trudno - zaczekam do wtorku.

13.30 - oglądamy mecz Polska - Portugalia. Maluch w brzuszku kopie jak zawodowy piłkarz. Po meczu smutno: dostaliśmy 0:4. Dzidziusiowi też pewnie jest przykro.

Po obiedzie badanie KTG. Siostra podłącza mnie w zabiegowym do aparatu i wychodzi. Oglądam wydruk: nawet skurczów już nie ma. Czuję się, jakbym blokowała w szpitalu miejsce jakiejś bardziej potrzebującej kobiecie. Nucę sobie: „I co ja tutaj robię?” i staram się zdrzemnąć na kozetce. Serduszko malucha brzmi jak najpiękniejsza kołysanka.

Nagle pod plecami czuję ciepło. Rozchodzi się po całej kozetce. Co to jest? Na podłogę chlusnęła woda - zalewa mi

koszulę, szlafrok, kapcie. Wszędzie pełno wody, jakby ktoś wylał całe wiadro. O rany! Odeszły mi wody płodowe! Tylko spokojnie, tylko spokojnie...

Wołam siostrę. Przychodzi dopiero, gdy po samodzielnym odłączeniu się od aparatury wychylam głowę na korytarz. Śmieje się z mojej miny: „Proszę iść się wykapać, przebrać i pojedziemy na porodówkę. Szczęściara z pani, zaczął się poród”.

Była godzina 16.00.

Na porodówce trafiam na „Salę Nagietkową” przeznaczoną do porodów rodzinnych. Pośrodku olbrzymie łóżko z regulowanym oparciem i podpórkami na nogi, na ścianie drabinki, pod oknem fotel dla taty, a na parapecie radiomagnetofon. Właśnie leci RMF. Jest też łazienka z prysznicem.

Dzwonię do męża. Uspokajam go i proszę, żeby przyjechał. Musi mi przywieźć nowy szlafrok i klapki. Będziemy rodzić!!!

Po badaniu diagnoza: szyjka macicy: długość - 2 cm, rozwarcie - 0 cm. Długa droga przed nami. Lekarz wytłumaczył mi, że poczekamy 6 godzin (taka jest procedura w przypadku odejścia wód) i zobaczymy, czy poród zacznie się naturalnie. Jeśli nie, podadzą mi kroplówkę (test oksytocynowy) na wywołanie skurczów.

Mąż przyjeżdża o 18.00. W Warszawie o tej porze straszne korki, nie mógł się przebić wcześniej.

Zaczynam czuć lekkie skurcze, mąż liczy czas pomiędzy jednym a drugim. Wychodzi nam 2 - 3 minuty. Cieszę się, że wcale mnie nie boli. Mam kolejne przeczucie: wytrzymam poród bez znieczulenia. Co to dla mnie!

Pstrykamy sobie zdjęcia. Mąż układa się na łóżku do rodzenia i robi różne pozy. Ma na sobie zielony strój i wygląda jak lekarz. Mówię do niego „panie doktorze”.

Szukamy w radiu fajnej muzyki, gadamy. Zaczyna robić się nudno. Jeszcze trochę podnieca nas fakt, że może dzisiaj już będziemy tulić nasze maleństwo. Ale zaczynamy drzemać.

21.30 i kolejne badanie.

Szyjka się nie skraca. Podłączają test. Od tej pory przestrzeń życiowa zmniejsza mi się na odległość rurki od kroplówki. Mogę wchodzić na łóżko i z niego schodzić, ale do łazienki już nie dojdę. Mąż donosi mi basen, ciągle chce mi się siusiu.

Na brzuchu mam zawiązaną niewygodną, ciasną gumę podtrzymującą dwie słuchawki: jedna kontroluje tętno dzidziusia, a druga nasilenie skurczów. Zaczyna boleć.

Uczymy się odczytywać cyfry na monitorze - kiedy zbliża się skurcz, licznik rośnie z 5 aż do 128. Przy górnej granicy już trudno mi utrzymać pogodę na twarzy. Liczę oddechy. Skurcz trwa 7 - 8 głębokich oddechów i potem 2 minuty przerwy.

Jest 22.00.

Wciąż mam potrzebę mycia zębów. Mąż przynosi mi moją szczoteczkę z pastą i dwa kubki: jeden z wodą, a drugi pusty, do wyplucia. Mam ochotę wziąć łyk zimnej wody, ale wiem, że nie mogę. Zazdroszczę mężowi, że może się napić.

Wchodzę na łóżko i schodzę na podłogę. Kucam, wstaję. Mąż przynosi mi zimne okłady na twarz, wciąż wymienia basen. Tylko wytrzymać 8 oddechów. Ból przenika przez całe moje ciało, wkrada się do najmniejszych receptorów, świdruje w mózgu. Brzuch, krzyż i co tam jeszcze może boleć - boli. Zaczynam czuć strach przed każdym kolejnym skurczem, ale myślę o moim dziecku i staram się uspokoić. Nie krzyczę. Głośno sapię - muszę utrzymać regularny, głęboki oddech. Mąż nie wie, jak mi pomóc. Trzyma za rękę, ale w czasie skurczu drażni mnie każdy dotyk. Nie chcę, żeby mnie



dotykał. Wszystko mnie drażni - także przypominania o oddechu. Chcę, żeby był obok, ale niech nic nie robi.

Co dwie godziny badają mnie i to w czasie skurczu. Muszę leżeć na plecach. Ta pozycja jest nie do wytrzymania. Przy każdym badaniu łzy same ciekną. Ale nie krzyczę. Oddycham. Wciąż myję zęby. Wchodzę i schodzę z łóżka. Szyjka skraca się bardzo powoli, rozwarcie małe.

5 rano. Wtorek, 11 czerwca.

Siedem godzin ostrych skurczów, a rozwarcie zaledwie 3 cm. Decydujemy się z mężem na znieczulenie zewnątrzoponowe. Tracę siły i cierpliwość. Jestem już bardzo zmęczona, a jeszcze tyle przede mną. Odstępy między skurczami coraz krótsze, czasem nawet czuję trzy bez żadnej przerwy.

Błagam, niech już przyjdzie anestezjolog!!!

Przez mgłę widzę jakiś dokument, który każą mi podpisać. Ukłucie w kręgosłup, które podobno miało boleć. Akurat miałam skurcz - nic oprócz niego nie czułam.

Po paru minutach bóle się wyciszają. Uwielbiam tego anestezjologa!!! Oboje z mężem zapadamy w ciężką drzemkę. Mija kolejne półtorej godziny.

Następne badanie i jest już 7 cm rozwarcia. Poród się przyspiesza. Podają mi jeszcze jedną dawkę znieczulenia. Znowu godzina drzemki. Nabieram sił. Mąż też. Jest już bardzo wyczerpany tym nocnym maratonem.

8 rano.

Po badaniu okazuje się, że jest już upragnione 10 cm!!! Położna obiecuje, że o 9 powinno być już po wszystkim. Rozpoczęła się druga faza porodu. Już nie wolno podać mi znieczulenia. Muszę czuć skurcze, żeby dobrze przeć. Boję się powrotu bólu, ale myślę, że skoro wytrzymałam 7 godzin, to dam radę i przez tę godzinę.

Pomimo krótkiego snu czuję ogromne zmęczenie. Każą mi zejść z łóżka i przeć na kucaka. Nie wiem, co to znaczy przeć, ale zwlekam się z łóżka i próbuję kucnąć. Mam bolesny skurcz i zostaję na wyprostowanych nogach. Nie dam rady ich zgiąć. Boli prawie bez przerwy. Mąż stoi obok mnie.

9 rano.

Jedyny rezultat, jaki udało mi się osiągnąć, to krańcowe wyczerpanie. Na twarz zakładają mi maskę z tlenem. Mogę wypić łyk soli fizjologicznej. Wciąż boli. Pytają, czy odczuwam skurcze parte. A skąd mam wiedzieć?! Skurcze to skurcze!!! Po godzinie miał być koniec, a tu się okazuje, że nie ma żadnego postępu...

Diagnoza: za duże dziecko, pacjentka nie da rady urodzić sama. Robimy cesarkę. Zbiegają się lekarze i położne. Dają mi coś do podpisania. A więc rodzę już od 17 godzin, z czego 11 w takich męczarniach, a oni dopiero teraz proponują cesarkę?!

Krzyczę, że mogli o tym pomyśleć wczoraj, bo na co teraz zdał się ten cały mój ból?! Patrzą na męża spod maski tlenowej, ciężko oddycham i łzy lecą mi z oczu. Niech to się wszystko już skończy! Byle jak, ale niech się skończy! Mąż nie wie, jak mi pomóc, szepcze tylko, że wszystko będzie dobrze.

W ostatniej chwili do naszej sali wparowuje ruda położna. Chyba jakaś starsza ranga, bo bardzo się rządzi. Mówi, że chce jeszcze spróbować „zmobilizować mnie” do porodu naturalnego i mają jej dać pół godziny. Tętno dzidziusia jest prawidłowe, więc lekarze się zgadzają. Nikt mnie nie pyta o zdanie. A ja już leżałam i marzyłam o znieczuleniu do cesarki. Tylko ta myśl trzymała mnie przy życiu. Ja już nie dam rady rodzić, róbcie co chcecie - ja się poddam!

Ruda podchodzi i wydziera się na mnie: „Złaż z łóżka!!!”. Mam łzy w oczach, ale złażę. „Kucaj i trzymaj się łóżka!” To jakaś wariatka!!! Ale kucam. Akurat mam skurcz i już z bólu

nie wiem, co się dzieje. Cały świat wiruje. Mąż podpira mi plecy. „A teraz wypchnij miednicę do przodu i w czasie skurczu mocno przyj! Pomóż dzidziusiowi! Musisz!!!”. A więc prę jak mogę najmocniej. Za każdym razem słyszę: „Źle! W ogóle się nie starasz! Przyj! Oddychaj i pchaj! A tatuś pomaga!”. Mówię jej, żeby na mnie nie krzyczała, bo chodziłam do niej na szkołę rodzenia. Wszyscy się śmieją, a mnie chce się płakać. Ruda mówi: „No to widzę, że niczego się nie nauczyłaš!!!”. Zabiję ją, jak tylko skończę!

Nagle ruda krzyczy: „Już widać główkę! Włóż teraz na łóżko! Ruszaj się, raz, dwa!”. O rany! Jak mam wleźć na to wysokie łóżko z główką między nogami, maską na twarzy i wijąc się z ogromnego bólu? Jak ona to sobie wyobraża?!

Mąż mi pomaga. Wchodzę na łóżko i zaklinam się na głos, że nigdy więcej dzieci! Niech inne rodzą, ja dziękuję. Zawieszają mi nogi na wieszaki. Czekamy na skurcz. Każą nabrać powietrza i przec. Chyba się uduszę! Mąż kontroluje mój oddech, przygina mi głowę do klatki piersiowej. Tak się napinam, że chyba powietrze wychodzi mi uszami. Na razie nie udało się. Czekamy na następny skurcz. Tym razem ruda pakuje ręce po łokcie w mój brzuch.

Jest główka!!!

Asystuje mi chyba czterech lekarzy i co najmniej pięć położnych. Wszyscy poruszeni, prawie biją brawo. Mąż wszystko widzi i szepcze mi do ucha o tym, co się dzieje. Na kolejne parcie już nie mam siły. Jakoś sami malucha wykręcają i wypychają ze mnie. Jaka ulga, już nic nie muszę!

Po odessaniu kładą przerażonego szkraba na mój brzuch. Patrzymy z mężem na siebie, a potem na niego.

Nie płaczemy. Nie mamy siły. Ale oboje czujemy niewypowiedzianą ulgę, że to już koniec, a zarazem początek czegoś nowego...

10.01. Wtorek, 11 czerwca.

Urodziliśmy pięknego, zdrowego synka! Waga: 4,090 kg (jak na moją drobną budowę duży!!!), wzrost: 56 cm. Dostał 10 punktów - obyło się bez kleszczy, wakuum i cesarki. Wszystko siłami niesamowitej natury. Trzeba jeszcze podziękować rudej położnej. To dzięki niej nie zostałam pocięta. Wszyscy na oddziale jej gratulują, nawet ordynator się dowiedział i przybiegł.

Podobno każdy dostaje taki ból, jaki jest w stanie znieść. A ja wiem, że jestem silna, więc dostałam swoją porcję. Ale im więcej bólu, tym więcej miłości. To szczerza prawda!

Dzisiaj mijają trzy tygodnie od porodu. To niewiele czasu. A ja jestem taka szczęśliwa, patrząc na moje maleństwo. I już nie pamiętam bólu. Pamiętam tylko miłość.

Chcę mieć drugie dziecko!!!

Przeczytałam to raz, drugi... Jasny gwint, nawet ja nakłamałam do gazety! Drugi raz porodu nie przeżyję!!!

16 września 2005

Jest piątek. Przywiodłam Kajtka z przedszkola, a ten w płacz, że źle się czuje! Zrobiliśmy dopiero drugą serię po dwa dni i mały znowu jest chory. Szesnaście dni września, a nasz bilans to cztery dni w przedszkolu, jedna grypa żołądkowa i jedno zapalenie ucha. Teraz pewnie też będzie ucho, bo nie chciał spać na prawym boku. Mówi, że go boli, i wygląda niewyraźnie.

KURCZE, CZY TO SIĘ NIGDY NIE SKOŃCZY?!

Żeby chociaż tydzień pochodził do przedszkola, a tu już na drugi dzień jego organizm wysiada. Podejrzewamy z Piotrem, że opanował do perfekcji wywoływanie w sobie choroby, bo wie, że wtedy zostanie w domu. Przeszliśmy to już w zeszłym roku ze żłobkiem. Wytrzymaliśmy do listopada, potem przeprosiliśmy się z nianią. Sześć razy pod rząd zapalenie ucha i seria antybiotyków. Jak się skończył żłobek, skończyły się choroby. Raz na wakacjach w górach piekielnie wymarziliśmy w deszczu, a Kajtek nic. Nawet kataru nie miał. A wystarczy przedszkole i jego odporność spada do zera.

Nafaszerowałam młodego czym się dało z apteczki i pacjent uciał sobie popołudniową drzemkę.

Miało już być dobrze: dziecko w przedszkolu najedzone, wyspane, wybawione. W dodatku przedszkole jest znacznie tańsze od niani.

Miałam już nie gotować obiadów w tygodniu i w ogóle poczuć ulgę, a jest jeszcze gorzej!!! Płacimy za przedszkole, do którego mały prawie nie chodzi, płacimy za lekarza i leki, zapłacimy niani, żeby przyszła na czas choroby. Obiady muszą być specjalne, bo chore dziecko ma wrażliwy żołądek, a ja w pracy zamiast przygotować się do corocznej kontroli i nadrabiać zaległości z wolnego tygodnia, będę siedziała i przejmowała się sytuacją w domu...

Tak sobie zręcząc, o mało nie przeoczyłam niezwykłego faktu - wpakowałam w siebie podwójny obiad i nawet na sekundę mnie nie zmuliło!

20 września 2005

Jest wtorek. Było mi żal Kajtka i zostanę jeszcze do jutra na zwolnieniu, żeby jakoś go wesprzeć w tych kryzysowych dniach choroby. Od czwartku będzie siedział z nianią, bo w pracy już chyba postawili na mnie krzyżyk...

Znalazłam sobie bardzo prosty i skuteczny sposób na relaks. Przy okazji niezwykle pożyteczny. Wynałazłam go sobie oczywiście nie dzisiaj, ale dzisiaj znowu użyłam.

Kiedy Piotr wraca z pracy i stuka kluczykami o komodę w przedpokoju, ja opowiadam biedakowi ile to jeszcze rzeczy trzeba załatwić na mieście: kupić maść w aptece, napełnić baniaki wodą przy studziencie, uzupełnić zapasy w markecie itp. Mąż śmiertelnie zmęczony oczywiście twierdzi, że to ponad jego siły. Na tym etapie jest już prawie urobiony. Jeszcze tylko dobry obiad, krótka rozmowa przy akompaniamencie telewizora i nadchodzi odpowiedni moment: przekazuję Piotrkowi dziecko, dyspozycje dotyczące podawania leków, biorę na swoje barki nieprzyjemny obowiązek załatwienia spraw, porywam kluczyki i dokumenty z komody i JADĘ!!!

Uwielbiam prowadzić samochód! I uwielbiam jazdę po Warszawie : - )

Siadam sobie wygodnie w fotelu, ustawiam lusterka, zapinam pas, przekręcam kluczyk i delikatnie ruszam. Jeszcze muzyka i już jest dobrze. Na głównej ulicy przyspieszam i dostrajam się do ogólnego warszawskiego rytmu.

Kurs na prawko robiłam w 2001 roku i zbiegło się to akurat z moją pierwszą ciążą. To znaczy najpierw zapisałam się na kurs, a potem się dowiedziałam, że jestem w ciąży. Miałam dwadzieścia sześć lat i byłam średnio o pięć lat starsza od każdego pozostałego kursanta. Ostatnie godziny praktyczne wyjeździłam już w widocznej ciąży, ale twardo postanowiłam iść za ciosem i zakończyć sprawę przed

porodem. Testy zdałam bezbłędnie i miałam pół roku na zaliczenie egzaminu praktycznego.

Pierwsze podejście: wjechałam na linię podczas głupiego parkowania równoległego tyłem („koperta”). Oblałam. Drugie podejście: znowu wylosowana została „koperta” i to mnie sparaliżowało. Dwukrotnie wjechałam na linię i pan musiał mi nie zaliczyć, chociaż pamiętam, że był niezwykle miły. Nawet trochę współczuł ze względu na rozmiar mojego brzucha utrudniającego akrobacje za kierownicą. Teraz muszę przyznać, że faktycznie kobieta w ciąży ma lekko upośledzoną orientację przestrzenną. Nie był to najlepszy moment na zdawanie egzaminu.

Po urodzeniu się Kajtka chęć samodzielnego rozbijania się po autostradzie została nieco przyćmiona zmęczeniem, niewyspaniem i nowymi obowiązkami. Postanowiłam mimo wszystko nie poddawać się, czekałam tylko na odpowiedni moment. Kiedy moje dziecko skończyło dwa lata, powtórnie podjęłam wyzwanie. Chwyciłam w ręce porzuconą dwa lata temu książkę i wyryłam na pamięć wszystkie pytania. Pojechałam na egzamin i miałam sześć błędów. Nie zaliczyłam, bo dopuszczalne są tylko dwa. Okazało się, że w ciągu dwóch lat przybyło dwieście pytań i moja książka jest nieaktualna. Kupiłam, więc nową i zapisałam się na kolejny termin. Tym razem miałam wykute na blachę całe pięćset sześćdziesiąt pytań i nie mogło się nie udać.

W dniu egzaminu w Warszawie coś „tapnęło” i były nieopisane korki. Tramwaje jeździły co pół godziny, a na Żeraniu z powodu remontu torów ostatni przystanek znajdował się kilometr przed ośrodkiem egzaminacyjnym. Pokonałam ten dystans w sprinterskim tempie, bijąc przy tym swój marny rekord życiowy. Ale na egzamin i tak dotarłam z siedmiominutowym spóźnieniem. Znowu niezaliczony i to zanim dostałam testy do ręki...



Chciało mi się ryczeć, ale pokornie wpisałam się na następny termin. Chyba popadłam wtedy w jakiś amok - tak się mocno zawzięłam, że nic nie było w stanie mnie zniechęcić, może tylko bankructwo. Ale powiedziałam sobie, że jak wyrzucą mnie drzwiami, to wejdem oknem, a cholerny egzamin muszę zdać i już!!!

Tym razem na testy nie tylko miałam obcykane wszystkie pytania, ale wyjechałam z domu dwie godziny przed czasem. Bardzo uważałam, żeby nic i nikt mi w tym dniu nie przeszkodził (w przeciwnym razie gotowa byłam zabić!). W efekcie dotarłam na miejsce godzinę wcześniej i czekałam znudzona w jakimś barze. Ale drzwi pilnowałam i stawiałam się na czas. Efekt: zero błędów, teoria zdana, pan pogratulował. No nie mogło być inaczej!!!

Zapisałam się na egzamin praktyczny za miesiąc i zadzwoniłam do zaprzyjaźnionego instruktora, żeby umówić się na jazdy doszkalające. Oczywiście co instruktor, to inna szkoła jazdy. Pan powywracał mi do góry nogami wszystko, czego się do tej pory nauczyłam, ale niech mu tam. Najważniejsze, że objechaliśmy cały Żerań i wszystkie trasy, na których oblewają egzaminatorzy z mojego ośrodka.

Wychodziłam z domu o 6 rano, żeby zaliczyć jazdy przed pracą, albo wracałam bardzo późno i Kajtek musiał siedzieć cały dzień z nianią (Piotr zwykle pracował do samego wieczora). W domu z niczym nie nadążałam, bo każdą najmniejszą wolną chwilkę spędzałam z synkiem w zabawkach, a potem zasypiałam (najchętniej na stojąco).

Nadszedł w końcu dzień egzaminu. Najbardziej bałam się makabrycznego placu manewrowego. Żaden przekręt ani przymrużanie oka nie wchodziło w grę, bo plac manewrowy był monitorowany kilkunastoma kamerami. Ciekawe, jak w takich warunkach radzili sobie ci, którzy dali łapówki. Pewnie musi być jakiś sposób...

Grupa była około trzydziestoosobowa, a nastrój jak na stypie. Większość egzaminowanych wracała z placu już po paru minutach, oczywiście z zamiarem zapisania się na kolejny termin. Czekałam tak długo na swoją kolejkę, że opadły ze mnie wszystkie emocje. Po jakiś dwóch godzinach wyczytano wreszcie moje nazwisko - jako ostatnie. Przywitaliśmy się z panem i zaprosił mnie do auta. Jazda po łuku w przód i tył. Zatrzymałam się za blisko palika, a pan do mnie:

- Powtarzamy, czy już sobie dziękujemy?

Miałam prawo każdy manewr wykonać dwukrotnie, więc oburzona powiedziałam mu, że oczywiście powtarzamy! Tym razem wyszło idealnie. Drugiego manewru nie jestem sobie w stanie za nic przypomnieć (to może szok!). Potem jeszcze ruszanie pod górkę. Pan był równie zdziwiony jak ja, ale został zmuszony do zaproszenia mnie na jazdę po mieście. No to teraz, jak przeszłam przez plac, postanowiłam się nie poddawać. Wyczuliłam wszystkie swoje receptory, napięłam mięśnie, uwagę, i ruszyłam do walki. Pomyślałam sobie, że w najgorszym wypadku ubłagam faceta, żeby mi zaliczył. Miałam nawet przygotowaną jakąś rzewną historyjkę o swoim podłym losie : - )

Wszystkie trasy na mieście znałam i poszło mi całkiem nieźle. Pan z uśmiechem wpisał mi w kartę: ZALICZONY! A co śmieszniejsze - byłam jego ostatnią egzaminowaną i powiedział, że jedzie w stronę Konstancina do domu i jak mam po drodze, to mogę się z nim zabrać. Facet podwiózł mnie do pracy tak zupełnie bez podtekstów i bezinteresownie! Tego dnia wróciła mi zachwiana nieco wiara w ludzi. I w siebie!!!

A Piotrek już mi przepowiadał, że trzy lata od pierwszych egzaminów - chyba niedługo zrobię doktorat z nauki jazdy : - )

22 września 2005

Dzisiaj w pracy delikatnie zasugerowano mi, czy nie zrezygnowałabym z mojego dofinansowania do angielskiego (już wiedzą o ciąży).

A ja na to, że już się zastanowiłam - nie rezygnuję, choćbym miała zarywać noce albo rezygnować z czasu spędzanego z Kajtkiem! I dodaję w myślach - niech tylko spróbują mi odebrać to dofinansowanie, to wytoczę im proces o dyskryminację. O!

Oczywiście udaję głupią i mówię grzecznie, że lekarz nie widzi przeciwwskazań, abym w moim stanie uczęszczała na lekcje : - )

## Mój demon Kajtek

22 września wieczorem.

Kajtuś poprosił o opowiedzenie mu bajki na dobranoc. Bajka była o krasnoludkach i sierotce Marysi: Był sobie król, który miał wielkie królestwo i córeczkę jedynaczkę o imieniu Marysia. Żona króla zmarła dawno temu i Marysia była sierotką (trudny wątek, ale Kajtek nie zadaje pytań). Pewnego dnia król postanowił powtórnie się ożenić.

- A ten klól miał jakieś samochody w tym swoim klólestwie?

- Oczywiście, że miał, synku...

- A jakie?

- No land - rovery, seaty, peugeoty, ciężarówki, nawet mini coopera...

- A jesce jakie?

- Miał jeszcze malucha i syrenkę. Ale słuchaj dalej bajeczki!

Nowa żona króla bardzo nie lubiła Marysi za to, że była ona taką piękną i mądrą dziewczyną. Co dzień królowa pytała się swojego zaczarowanego lustra: „Lustereczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy na świecie?”. I codziennie otrzymywała odpowiedź: „Ty królowo jesteś piękna, ale najpiękniejsza jest królewna Marysieńka” (o kurczę! to chyba z Jana III Sobieskiego, czyżby coś mi się pomerdało?).

Któregoś dnia, gdy król wyjechał w delegację...

- Tak jak tata?

- Tak jak tata.

Wtedy zazdrosna stara królowa wydała swoim poddanym rozkaz, żeby wywieźli Marysię daleko do lasu (pomięłam drastyczny wątek o morderstwie).

- A jakim samochodem ją wywieźli?

- Hmm... Oczywiście terenowym land - roverem, bo w lesie nie ma dobrej drogi, tylko krzaki, rowy i bagna. Najlepiej w takich warunkach radził sobie terenowy samochód.

- Aha!

Wysadzili w końcu Marysię tak daleko, że nie umiała znaleźć drogi powrotnej do swojego domu. Dziewczynka zapłakała, ale postanowiła pójść leśną dróżką poszukać pomocy. Nagle zobaczyła mały kolorowy domek na polance i zapukała do drzwi.

- A garaz był?

- Kajtek, jaki garaż?! Przestań już i słuchaj!

Tam był tylko domek. Marysia zapukała do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Zobaczyła jadalnię z długim stołem, przy którym stało siedem krzesełek. W kuchni znalazła siedem miseczek i siedem łyżeczek. Marysia jeszcze raz zawołała: „Hop! Hop! Czy jest tu ktoś?”. Ale nikt nie odpowiedział. Otworzyła drugie drzwi i zobaczyła sypialnię z siedmioma łóżeczkami i siedmioma kolorowymi poduszczkami. Marysia była taka zmęczona, że zjadła sobie zupkę z jednej miseczki i położyła się na pierwszym łóżeczku, żeby troszkę odpocząć.

Tymczasem siedmiu krasnoludków po ciężkiej pracy w lesie wróciło do swojego kolorowego domku. Bardzo się zdziwili, kiedy zobaczyli otwarte drzwi i ubrudzoną miseczkę. Jeden z krasnoludków zawołał: „Zobaczcie, ktoś siedział na moim krzeselku!”, a drugi na to: „Popatrzcie, ktoś jadł moją łyżeczką!”. Nagle jeden z krasnoludków krzyknął: „Chodźcie tutaj i spójrzcie - ktoś śpi na moim łóżeczku!”. Wszystkie krasnoludki przybiegły do sypialni i zobaczyły śpiącą Marysię. Wtedy dziewczynka obudziła się i trochę przestraszona przeprosiła gospodarzy za najście. Opowiedziała swoją smutną historię krasnoludkom i poprosiła ich o pomoc. Krasnoludki natychmiast zaproponowały, żeby dziewczynka zamieszkała z nimi. Będzie pilnować domku, kiedy wszyscy pójdą do lasu, ugotuje krasnoludkom zupkę, pozamiata izbę i będzie bawić się w ogrodzie z leśnymi

zwierzątkami. Wszystkim bardzo spodobał się ten pomysł i od tego czasu Marysia mieszkała z krasnalami w leśnej chatce i było jej tam bardzo dobrze.

Któregoś dnia zła stara królowa zapytała swoje lustro: „Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy na świecie?”. A lustreczko na to: „Ty, królowo, jesteś piękna, ale piękniejsza od ciebie jest królewna Marysia”. I królowa zobaczyła w swoim czarodziejskim lustrze Marysię, która mieszka sobie szczęśliwie w środku lasu w domku krasnoludków. Niezadowolona postanowiła zemścić się na królownie, przygotowała więc okrutny podstęp. Przebrała się za staruszkę, włożyła do koszyczka jabłko z trucizną w środku i wyruszyła do lasu. Kiedy dotarła do domku krasnoludków, pochyliła się do przodu, aby udąć przygarbioną babuleńkę i zapukała do drzwi. Otworzyła jej Marysia, która zupełnie nie poznała złej królowej. Ulitowała się nad staruszką, zaprosiła do domu i poczęstowała zupką. Staruszka, kiedy trochę odpoczęła, podziękowała Marysi za gościnę i powiedziała, że musi wyruszyć w dalszą drogę. W nagrodę zostawiła dziewczynce piękne czerwone jabłko i poszła.

Marysia nie wiedziała, że jabłko było zatrute i ze smakiem ugryzła sobie soczysty kęs. Nagle bardzo źle się poczuła, zakręciło się jej w głowie i upadła na podłogę w kuchni. Tam też znalazły ją krasnoludki, kiedy wróciły z pracy w lesie. Próbowaly obudzić królownę, wołały do niej, badały ją i podawały różne syropki, ale nic nie pomagało. Dziewczynka zasnęła kamiennym snem.

Bardzo smutne krasnoludki położyły Marysię w specjalnie dla niej przygotowanym łóżeczku, wnieśli łóżeczko na najwyższe wzgórze w lesie i usiadły dookoła, żeby opłakiwać swoją stratę. Wszystkie zwierzątka w lesie płakały po królownie.

Pewnego razu przez las przejeżdżał na swoim koniku piękny królówic. Z daleka zobaczył grupkę krasnoludków pochylonych nad czyimś łódeczkiem na wysokim leśnym pagórku. Podjechał bliżej i usłyszał smutną historię o śpiącej dziewczynce. Królowna Marysia tak mu się spodobała, że podszedł bliżej i postanowił dać jej buziaka (o kurczę! wątek seksualny!). I nagle w czasie pocałunku kęs zatrutego jabłka wypadł Marysi z ust i dziewczynka otworzyła oczy. Zdziwiona rozejrzała się dookoła. Nagle zobaczyła krasnoludki i pięknego królówicza i uśmiechnęła się uradowana (ale banał!). Królówicz zaproponował, żeby Marysia pojechała z nim do jego królestwa, poprosił ją o rękę i wkrótce wyprawili huczne wesele. Krasnoludki bawiły się na weselu młodej pary, a wszyscy żyli odtąd długo i szczęśliwie (uff! dzięki Bogu to już koniec!).

Chwila ciszy. Kajtek myśli.

- Mamo, a dlaczego ten królówicz przyjechał do lasu na koniku, a nie samochodem?...

Panie Boże, daj mi córkę!!!



30 września 2005

Jeszcze Kajtek do końca nie wydobrzał, kiedy dla odmiany ja złapałam gripę. Potem Piotrek, potem niania, a teraz choroba zatoczyła koło i znowu najbardziej chory jest Kajetan.

Wczoraj niania nie mogła do nas przyjść, bo zmogło ją tak, że musiała zostać w łóżku i mieliśmy „mały problem”. Pierwotna nasza strategia była taka, że dopóki nie wykonamy Kajtkowi wszystkich badań, to nie pójdzie do przedszkola. Poza tym antybiotyk skończył się dopiero w zeszłą sobotę i teraz maluch był jeszcze osłabiony. Byłam pewna, że gdybym pokazała mu bakterię na obrazku, od razu by zachorował.)

No i przyszedł ten głupi czwartek, z którym zupełnie nie wiedzieliśmy co zrobić. Piotr jak zwykle miał śmiertelnie ważne spotkania w pracy i nie mógł ich odwołać. Ja po poprzedniej prawie dwutygodniowej przerwie w pracy miałam takie zaległości, że chyba do grudnia z nich się nie wykopię. Wypadło mi jeszcze zebranie, na którym nie tylko musiałam, ale i chciałam być. Klóciliśmy się do ósmej rano, a potem zaprowadziliśmy zasmarkane dziecko do przedszkola. Do przechowalni...

No i dzisiaj mały znowu jest chory (na razie katar i gorączka). Ja mam obowiązkowy urlop i chyba za chwilę popełnię samobójstwo! Albo chociaż jakąś małą zbrodnię (na przykład zaklnę sobie siarczyście).

Co my mamy zrobić? Kajtek ciągle jest chory i nie wiadomo kogo za to ukarać. Pediatra na wiadomość, że po jednym dniu w przedszkolu dziecko choruje przez dwa tygodnie, rozkłada tylko ręce i mówi, że tak ma być. Że u dzieci to normalne, nic się nie da zrobić.

Nie jestem milionerką, żeby nie chodzić do pracy.

Nie jestem wynalazcą nowych leków, żeby raz a dobrze wyleczyć młodego.

Nie jestem ministrem, żeby kazać go wyleczyć mojemu  
pediatrze.

Ale... mam mamę. I do niej właśnie zadzwoniłam.

7 października 2005 - następny piątek

Jest mama i jest bardzo OK!

Trochę się objamy o siebie w domu (szczególnie Piotr z teściową : - )) ale jest coś za coś: zyskailiśmy dobre obiadki, czystą chatę, szczęśliwe, zadbane i przypilnowane dziecko. Nadrabiamy zaległości w pracy. Co za ulga! Taki urlop od poczucia obowiązku, bo ktoś za nas nad wszystkim panuje...

We wtorek miałam USG. Pierwsze. Był Kajtek i Piotrek, a więc mam świadków. ON TAM JEST - DZIDZIUSI! Ma 16 cm i 2 mm, przewraca się z boku na bok, wszystko czuje (bo uciekał od aparatu jeżdżącego po moim brzuchu) i macha sobie paluszkami u rąk. Jestem taka stara i doświadczona, a jednak ten widok mnie zaskoczył.

Z badania wynika, że wszystko jest w porządku. Rozmiar dzidziusia sugeruje lekarzowi, że jest to początek drugiego trymestru. Niestety nie zgadza się to z moimi obliczeniami. Kurczę! Czyżbym tak się pomyliła? O całe trzy tygodnie?...

To niemożliwe! Obstaję przy swoim: nie skończył się jeszcze trzeci miesiąc ciąży i już! Ale na wszelki wypadek już na koniec marca przygotuję się do akcji : - )

30 listopada 2006

Odkąd zaakceptowaliśmy fakt, że Kajtuś na razie nie nadaje się do przedszkola, jest nam trochę łatwiej. Nie miotamy się, nie szukamy winnych i nie narzekamy na swoją sytuację - po prostu przyjęliśmy opcję, że dziecko jeszcze rok musi posiedzieć w domu. Robiliśmy badania bakteriologiczne i wyszło, że wszędzie u małego panoszy się gronkowiec złocisty (prawe ucho, gardło, nos). A gronkowiec ma to do siebie, że raczej się go nie leczy, bo nie ma na to cholerstwo lekarstwa, ale powoduje u dziecka (akurat naszego) zwiększoną podatność na infekcje. Nawet po chwilowym wytypieniu takiej bakterii z ucha bardzo szybko może ona tam wrócić, bo gronkowce roznosimy na własnych dłoniach. Tym bardziej dzieci... Poza tym padło jeszcze podejrzenie na powiększony trzeci migdał i może będziemy go wycinać.

Trafiliśmy na bardzo fajną, poleconą panią doktor, której zaczynam wierzyć. Badanie dziecka zaczyna od zważenia go i zmierzenia, potem określa, w jakim centylu znajduje się pacjent (to takie normy porównawcze chyba o rozpiętości od 1 do 100 - ale muszę to jeszcze sprawdzić w Internecie - ustalone dla dzieci z tego samego przedziału wiekowego). Kajtek pod względem wagi jest w 70. centylu - czyli średnio chudy, a pod względem wzrostu w 90. centylu - czyli mały koszykarz. Po tych wyliczeniach pani doktor zaczyna kompleksowe badanie włącznie z wymiętoleniem brzucha i sprawdzeniem jajeczek. Nieczęsto się widzi, że lekarzowi tak zależy na poznaniu pacjenta...

Jak na razie mamy strategię wyciągnięcia Kajetana z przewlekłego kataru, kaszlu i ogólnego przeziębienia, które ciągnie się od czterech tygodni jako następstwo kolejnego zapalenia ucha... Dziecko jest więc teraz u dziadków na kuracji, nadrabiamy z Piotrem zaległości w pracy, ja planuję święta, a ogólnie wszyscy za sobą tęsknimy.

Jeździmy do rodziców na weekendy w odwiedziny, ale jeszcze nie zabieramy maleńtasa - ku ogólnemu przerażeniu mojej mamy.

Po podleczeniu spróbujemy podać Kajtkowi autoszczepionkę zrobioną na bazie jego własnych bakterii i będziemy z panią doktor opracowywać dalszą strategię działania. Podoba mi się to: zamiast popadania w beznadzieję w końcu mamy jakiś plan!

Dzisiaj (jak co dzień) dzwoniłam do babci zapytać o wnuczka, a ten oczywiście nie dał nam ze sobą porozmawiać, tylko wydarł słuchawkę, żeby mi oznajmić:

- Mamo, nie mogę z tobą teraz rozmawiać, bo jestem zajęty. Oglądam Skibi Duu na „Kaltun Netłok”. Zadzwoń potem!

I rozłączył rozmowę.

Asertywna paskuda, zrobi karierę!

7 grudnia 2005

Zadzwoiłam do swojego kochanego Miśka, czyli własnego synka, żeby mu oświadczyć, że byłam u fryzjera i obciąłam włosy (mały musi być na bieżąco).

- Ale ja chce, żeby ty miała włosy!!! - Kajtuś prawie się rozpłakał. Nie przewidziałam takiej reakcji. Pewnie pomyślał, że teraz jestem łysa, a przecież on uwielbia kręcić mi loczki, gdy zasypia.

- Kajtek, nie martw się! Ja mam włosy, tylko takie króciutkie. Wyglądam jak chłopczyk i teraz jestem bardzo podobna do ciebie!

- Tak?... - Dosłownie zobaczyłam ten błogi uśmiech w słuchawce. - To teraz już nie będziesz się chciała bawić lalkami i misiami, tylko będziesz się bawić ze mną chłopakowymi samochodzikami?

Czy ja już kiedyś wspominałam, że dla nabrania równowagi w domu przydałaby się mała dziewczynka?...

11 grudnia 2005

Jest niedziela. Dziecka wciąż nie ma w domu. Godzina prawie południowa, a Piotr jeszcze śpi. Zrobiliśmy sobie wczoraj wieczór filmowy do 4 rano, niech więc odeśpi. Cisza i spokój (słysząc trochę buczenie lodówki i filtr w akwarium, ale to prawie jak błoga cisza).

Ja pewnie też bym jeszcze leżała, gdyby nie przeszkadzał mi brzuch. No bo ile można leżeć na lewym boku? 5 - 6 godzin to maks, potem trzeba się trochę rozruszać. Marzę o zaśnięciu na brzuchu!!! Leżenie na wznak nie wchodzi w grę, bo mnie zatyka, a poza tym to taka pozycja umarłaka. Fuj, niewygodnie! A w prawym boku coś uciska. Może maluszek gdzieś wepchał swoją wszędobylską nóżkę? Od jakiegoś półtora miesiąca dzidzius fika mi w brzuchu jak koziołek. Już zapomniałam, jak to fajnie czuć ruchy dziecka... Wszyscy po kolei pukamy do niego, tylko jeszcze nie wiemy, jak się zwracać: per pani czy pan? Mówimy, jak komu popadnie, na razie jest zarówno chłopczykiem, jak i dziewczynką. Nie mam żadnych przeczuć co do płci. Taka ze mnie matka : - ( Ale Kajtuś się upiera, że to na pewno siostrzyczka : - )

Przedemną ostatni tydzień pracy, potem biorę zwolnienie. Doprowadziłam swoje sprawy do końca roku, poczyściłam i wyprostowałam, co mogłam, może i plan uda się wykonać. A od nowego roku niech już sobie planują i rozdzielają sprawy beze mnie, muszę się teraz wyłączyć. Muszę w końcu przejąć opiekę nad Kajtkiem, zaplanować zakupy, przygotować się do drugiego macierzyństwa i w ogóle mnóstwo spraw przemyśleć. Na razie żegnam się do listopada (chyba że wygram w lotto, to wtedy posiedzę z dzieckiem trochę dłużej : - )).

Już sama nie wiem, czy w końcu przegłosowano dłuższy urlop macierzyński, czy jeszcze nie. Dostałoby mi się wtedy dwadzieścia tygodni. Z urlopem wypoczynkowym jest szansa

na odchowanie dzieciątka do szóstego miesiąca życia. Potem niania. Dobrze i to.

Od rana snuję dalekosiężne plany, ale po południu widzę wszystko we właściwych proporcjach: Piotrek myje okna z miną wyrażającą głęboką pogardę do świątecznych porządków, a ja sobie piszę i udaję, że jestem w ciąży i nic nie mogę : - )

Wszyscy nasi sąsiedzi emeryci chyba pukają się w głowę: „Okna w niedzielę?!”. Ale kiedy miałyby je umyć, jak zawsze pracuje?

A to nie będą zwykłe święta. Pierwszy raz będziemy tylko we trójkę w Warszawie. Chcemy odpocząć i nacieszyć się sobą (Kajtka przywozimy dopiero tydzień przed Wigilią). Będzie ogromna żywa choinka, prezenty, kapusta z grzybami, śledzik, ręcznie upieczone ciasteczka i dużo przytulane. Będzie super!



19 grudnia 2005

Pochodziłabym jeszcze do pracy, bo bardzo dobrze się czuję, ale niestety nie mamy co zrobić z Kajetanem i ze względu na niego od wczoraj jestem na zwolnieniu (o rany, żeby tylko ZUS tego nie przeczytał!). W zeszłym tygodniu ostatecznie pożegnałam się z zespołem (pewnie na jakiś rok) i od poniedziałku zaczynam swoją misję - jak to powiedział mój szef: muszę dać światu nowe życie i mieć odpowiednio dużo czasu, żeby się do tego przygotować. Trochę mnie to przeraża. Teraz sobie myślę, że chodzić do pracy na pełny etat, zatrudniać nianię i wychowywać dziecko po szesnastej to pryszcz w porównaniu z siedzeniem cały dzień z dzieckiem, garami, praniem i fochami we własnym domu. A tu będzie dwoje dzieci : - )

Chyba od samego myślenia o tym prześladowuje mnie okropny ból głowy i teraz znowu nie dał spać. Wzięłam aspirynę - zanim przejdzie, to sobie trochę w kuchni popiszę. Jak ta lodówka głośno chodzi - jak czołg!!! Dziwne, nigdy mi nie przeszkadzała...

W sobotę przywieźliśmy Kajtka od dziadków. Po całych czterech tygodniach! Planowałam bardzo się ucieszyć, mały chyba też, ale wyszło nam trochę jak z przekombinowanym wyjazdem na wakacje - milion planów i przygotowań, a tu morze wcale nie tak niebieskie albo góry jakieś takie niewysokie : - )

Maluch cały dzień biega jak nakręcony i wciąż nas zamecza: „Kto się teraz ze mną pobawi?”. A zabaw wymyśla sto na minutę: ledwo rozłożyliśmy na podłodze tor samochodowy, już zachciało mu się pooglądać bajkę. Potem przypomniał sobie o plastelinie, a po piętnastu minutach lepienia zażądał od Piotra (tak, nie prosi, tylko żąda!) gry w piłkę. A jak, nie daj Boże, pójdziesz siusiu, to stoi pod

drzwiami łazienki i monitoruje, czy już na pewno skończyłaś i dlaczego tak długo?!

Z wielkim trudem udało się nam ugotować obiad i ubrać choinkę. Na szczęście choinka Kajtka trochę zajęła (jest ogromna, aż do sufitu i całkiem żywa!!!). Na chwilę przystopowałam, ale jak się znudził, znowu wyruszył na poszukiwania. A najgorsze, że nasz synek nie chce nic robić sam. Nawet przez pięć minut nie pobawi się samochodzikiem albo nie poogląda sobie książki czy gazetki z samochodami („Auto Świat” to jego ulubione czasopismo). Przy wszystkim trzeba mu asystować, bo jak nie, to jest nieszczęśliwy i znudzony. Poza tym zrobił się okropny uparciuch i nawet szantaż na niego nie działa.

- Kajtek, posprzątaj zabawki po poprzedniej zabawie!

- Nie posprzątam! Ty posprzątaj!

- Kajtuś, jak nie będziesz po sobie sprzątał, to Święty Mikołaj na pewno się o tym dowie i za karę nie będzie w tym roku prezentów. Wybieraj!

- Ale ja chce prezenty!!!

- No to po prostu posprzątaj! Nawet mogę ci pomóc, razem szybko nam pójdzie.

- Nie posprzątam, ty posprzątaj!

I tak w kółko aż do zderzenia płyty...

Jak coś idzie nie po myśli Kajetana, to zaczyna wyć jak syrena strażacka - widocznie moja mama w obawie, że sąsiedzi będą ich podejrzewać o znęcanie się nad dzieckiem, ciągle mu ustępowała. Nie dziwię się, że była taka zmęczona, jak nam go oddawała po czterech tygodniach - można stracić cierpliwość już po jednym popołudniu...

Na przykład robi awanturę przy obiedzie, że owszem zje, ale tylko przy bajce. Niestety my oglądamy akurat skoki narciarskie i mówimy mu, że bajkę poogląda, jak się skończy transmisja ze skoków. Wszystko ładnie nakryte do stołu, zupa

rozlana w miseczki, przygotowana surówka, kompot i mięso na kuchni - tylko siadać i delektować się chwilą spokoju. A temu nic się nie podoba i zaczyna wyc, aż leci mu woda z nosa. Natychmiast wytrzyj mu nos, bo nie wytrzyma i podaj mu jego ulubiony samochodzik, bo jest nieszczęśliwy. Wszystkim ciśnienie rośnie i powoli przechodzi apetyt. Pada wtedy pytanie o ostateczną decyzję:

- Kajtek, będziesz jadł z nami czy nie?

- Neeee!!!

- W takim razie pójdiesz do swojego pokoju i się uspokoisz, bo nie mamy zamiaru tego wysłuchiwać. A jak się już uspokoisz, to wtedy może będziesz miał większy apetyt.

I w tej chwili rozgoryczone i wijące się z bezsilności dziecko jest wynoszone do swojego pokoju, a hałasu robi przy tym tyle, że słyszą go pewnie po drugiej stronie Wisły. Potem pół godziny płaczu, a my tymczasem sobie jemy (oczywiście już nic nie smakuje...). Mały co jakiś czas woła któregoś z nas, najczęściej mnie, bo wie, że z tatusiem to na pewno nic nie wskóra. Kiedy uświadamia sobie, że kompletnie nie zwracamy na niego uwagi i cała ta awantura jest bez sensu, nagle zapada cisza. Po chwili wchodzi do dużego pokoju, wyciera oczy i mówi coś w stylu:

- Mamo, już się uspokoilem. Teraz będę jadł.

A ja sobie myślę o magii świąt, kiedy nawet potwory mówią ludzkim głosem : - )

24 grudnia 2005

Nareszcie Wigilia!

Na razie tradycyjnie wszyscy śpią, a ja piszę w kuchni - jest 5.47 rano. To zabójcza godzina na jakąkolwiek aktywność, a ja nie mogę spać...

Już w czwartek zrobiłam kapustę z grzybami i sałatkę warzywną, wczoraj barszcz wigilijny na wywarze z gotowanych grzybów i pierogi z grzybami w kruchym cieście. A dzisiaj od rana gotujemy kompot z suszonych owoców, robimy kutię z maku, bakalii i miodu, no i ciasteczka - łamańce do maku (Kajtek nie może się doczekać wycinania ciastek, bo to będzie jego robota). Potem Piotrek zajmie się ruskimi pierogami (to z myślą o dziecku, bo żadna potrawa wigilijna nie jest w jego typie), a ja jeszcze w międzyczasie sałatką śledziową. Na końcu usmażymy karpia.

Pierwsze święta takie tylko nasze... Mój wielki debiut logistyczny : - ) Zawsze zwalaliśmy się do mamy nieświadomi całego tego zgiełku i wysiłku związanego z przygotowaniem wigilijnej uczy. Zawsze na gotowe. I szczerze mówiąc, nie wyobrażałam sobie do tej pory, żeby takie przygotowania miały spaść na moje barki.

Każda kobieta chyba dojrzewa do tego w innym czasie. Ja może późno, bo mając trzydziestkę. Ale chyba potrzebowałam podobnego wyzwania, gdyż świetnie się z nim czuję! Sama nie wiem, czy wije gniazdo, jeszcze mocniej zadomawiam się w naszym mieszkaniu... A może tak sprawnie poszła mi cała organizacja, bo jestem naspidowana hormonami - w końcu to szósty miesiąc ciąży : - )

Wolę jednak wierzyć, że dojrzałam...

Choinka stoi ubrana już od tygodnia i pięknie nam wieczorami świeci. Dzisiaj robimy akcję pod kryptonimem ŚWIĘTY MIKOŁAJ, ale że jesteśmy tylko we trójkę (no, prawie w czwórkę : - )), zrezygnowaliśmy z przebierania się, bo mały

zaraz by coś wyczuł. Po kolacji zostawimy Mikołajowi pod choinką trochę soczku i ciasteczko na talerzyku i pójdziemy na podwórko wypatrywać pierwszej gwiazdki. W tym czasie Piotrek podłoży prezenty, opędzluje poczęstunek i szybko do nas dobiegnie. Jak wrócimy do domu, to będzie czekać na nas niespodzianka. Mam nadzieję, że dla dziecka wszystko będzie wyglądać bardzo realnie. Rany boskie! Żeby tylko Piotrek nie zapomniał zjeść tego ciastka!!!...

Kajtkowi zapakowaliśmy już trzy paczki, a jeszcze dzisiaj rano Piotr jedzie kupić mu super furę na pilota albo jakiegoś innego monster trucka na napęd. A żeby nasz mały nie żył tylko swoją furą (bo na skórę i komórkę za wcześnie : - )), dostanie jeszcze książkę ze śmiesznymi bajkami, trzy książeczki z zagadkami i naklejkami oraz grę edukacyjno - elektroniczną dla przedszkolaka. Już wczoraj Kajtek przeżył jedną niespodziankę, bo listonosz przyniósł nam ogromną paczkę zaadresowaną właśnie do niego. W środku był zestaw - duży plastikowy, piętrowy parking dla samochodzików ze stacją benzynową, windą i ulicą. Wszystko to prezent od chrestnej - siostry Piotrka. Obaj chłopcy, tata i synek, bawili się nim cały wieczór.

Mam jeszcze niespodziankę dla męża: robiłam porządki w naszych szpargałach w komodzie i znalazłam sześć niewywołanych filmów. Zniosłam je do fotografa i okazało się, że są na nich zdjęcia z wczesnego dzieciństwa Kajtusia - w sumie dokumentacja prawie ręki życia. Niektórych momentów zupełnie nie pamiętałam, na przykład pierwszej wizyty na basenie i nauki pływania dla niemowlaków albo rumienia złocistego rozsianego na całym ciele dzieciaczka. A jaki to był grubasek!!! No i przebijające prawie z każdego zdjęcia moje niewyspanie w oczach - wyglądałam upiornie i strasznie chudo, a mimo wszystko szczęśliwie. Już nie pamiętam tego zmęczenia...

W każdym razie zapakowałam wszystko (a jest tego z 200 sztuk) w nowy album, dopisałam komentarze i obłożyłam czerwonym świątecznym papierem z napisem: „Mama, Tata i Kajtek” - mam nadzieję, że spodoba się tacie i będzie trochę zaskoczony : - )

A skoro już mowa o wiciu gniazda - powiedziałam wczoraj Piotrkowi, że chyba już czuję się gotowa, już nadszedł ten moment... Dobrze byłoby pomyśleć o takim całkiem naszym domu...

27 grudnia 2005

Zadzwoiła dzisiaj do mnie koleżanka: - Cześć, Martuś!!!  
Co słyszeć u was?

- Hej! Ano siedzę sobie w domu na zwolnieniu, gotuję, sprzątam, bawię się na podłodze resorakami i tyle. A Kajtek siedzi ze mną.

- A do kiedy to zwolnienie?

- Do porodu.

- Co?! Zwariowałaś? Tak się dajesz?...

- Jak to zwariowałam?!

- No tak zupełnie o sobie zapomnieć? Przecież do porodu jeszcze jakieś cztery miesiące! Już dałaś się zamknąć w czterech ścianach?

- Nie dałam się nikomu zamknąć, tylko nie mam co zrobić z Kajtkiem. Ciągłe chorował w przedszkolu. Poza tym nie narzekam, dobrze mi w tych ścianach.

- Aha... Ale musisz koniecznie wysłać małego do przedszkola, bo i tobie będzie lżej i Kajtek nauczy się wielu nowych rzeczy między rówieśnikami!

- Sylwia, nie rozumiesz, co do ciebie mówię? On tam już po trzech dniach ma gorączkę i zapalenie ucha. Młody ma dopiero trzy i pół roku. Jak pójdzie do przedszkola rok później, nie będzie to chyba miało wielkiego wpływu na jego życiową karierę, nie panikujemy. Już się nastawiłam, że będę siedziała na macierzyńskim z dwójką dzieci. Mówi się trudno, to nie koniec świata.

- O Boże! Wiesz, naprawdę ci współczuję...

- Ale nie musisz, Sylwia, naprawdę. A co u ciebie?

- Aaa, jestem taka zmęczona, nic mi się nie chce...

I zawsze to samo. Wyzwolona kobieta! Wiecznie mnie poucza, żebym się nie dawała wykorzystywać. Gotowanie, sprząatanie i poświęcanie się rodzinie to dla niej grzech śmiertelny, a kobieta, która czerpie z tego przyjemność lub

przynajmniej nie narzeka, jest według niej ograniczona i zahukana przez męża. Ciągłe boli ją głowa, ma depresję, wszystkiego dość i jest zmęczona. Nie wiem, jak udało się jej odchowić dzieci, ale w dużej mierze to zasługa męża. Facet naprawdę ma anielską cierpliwość i dużo pomaga w domowych robotach. Tylko że z jej wyzwoloną postawą to ona jest wiecznie nieszczęśliwa. Kiedyś jej powiedziałam: „Sylwia, zamiast zmieniać mnie, może tym razem przyjrzyj się sobie! To tobie jest ciągle źle z samą sobą. Może to nie ja jestem głupia, tylko z tobą coś nie gra, co? Nie obrażaj się, to taka szczerza sugestia, może warto się zastanowić...”.

A tak w ogóle co z Wami, babki? Szukacie szczęścia w wyzwoleniu, karierze, wolności, niezależności, samotności... Byle tylko nie dać się spętać w sidła rodziny, nie dać się opleść w pajęczynę obowiązków, zamknąć w czterech ścianach. Kobieta taka jak ja to symbol porażki życiowej - tak przynajmniej o mnie myśli moja kumpela Sylwia.

Ja przyznaję się do tego, że lubię na przykład coś ugotować i widzieć, że to wszystkim smakowało, albo słyszeć, jak Kajtek woła: „Dokładkę!!!”. Lubię zapach suszącego się prania. Lubię przynieść wieczorem do pokoju herbatę z cytryną mężowi i obejrzeć razem film. Lubię bawić się do upadłego z Kajtkiem i obserwować go w czasie zabawy, słyszeć potem wieczorem: „Kocham cię mamo!”. Lubię mieć czysty i przytulny dom, za którym wszyscy tęsknimy, ilekroć wyjedziemy gdzieś na wakacje. Nie lubię natomiast narzekać na to, jak to ja się dzisiaj namęczyłam, jaka jestem zapomniana i wykorzystywana. A już zupełnie nie cierpię marnować czasu na roztkliwianie się nad sobą i wpadanie w depresję niespełnienia. Fakt, że sił w sobie mam jak tur (nawet w szóstym miesiącu ciąży) i zawsze tak było. To już jednak sprawa genetycznego skrzywienia, mam to po swoim tacie : - )



Gdyby moja mama postanowiła „nie dawać się”, to pewnie dzieciństwo, zamiast z zapachem biszkopta, buraczkami na ciepło do niedzielnego obiadu i wyprawami rowerowymi do lasu, kojarzyłoby mi się ze zmywaczem do paznokci, smutnym oczekiwaniem na odrobinę uwagi i nieustannym wrzaskiem: „Dajcie mi wreszcie święty spokój!!!”. Brr!!!

29 grudnia 2005

Piotrek wyjechał na cały tydzień w delegację. Ostatni tydzień w roku, mam nadzieję, że zdąży do nas wrócić przed sylwestrem. Nie planujemy żadnego balu (kapcie, telewizor, piżama i własne łóżko), ale wypadaloby chociaż przy symbolicznej lampce szampana zapaść się wspólnie w coroczną zadumę typu „jak ten czas leci...”. Na ten rok zaplanowałam jeszcze jedno hasło: To BYŁ DOBRY ROK. Tak, tak sobie właśnie pomyślałam, że był całkiem dobry. I że chyba należy się spodziewać, że następny nie będzie gorszy, a może niechcący uda się lepszy. No bo przecież szykuje się WIELKIE WYDARZENIE: w 2006 dołączy do naszej paczki taka nowa, mała dziewczynka : - )

\* \* \*

A, mówili dzisiaj w „Wiadomościach”, że uchwalono becikowe dla wszystkich przyszłych rodziców bez względu na dochód w rodzinie. Mam mieszane uczucia: z jednej strony fajnie jest dostać tak za nic tysiąc złotych, ale z drugiej - drzę na myśl, kto za to zapłaci. Nie wiadomo jeszcze, skąd wezmą te pieniądze... A jak nie wiadomo, no to wiadomo - ten sam tysiąc, który dostanę, potem zapłacę z kolejnym podatkiem. I Piotr też. Żebyśmy wyszli na zero, musiałabym urodzić bliźniaki:)

Stare tybetańskie przysłowie mówi: „Jeśli jakiś problem da się rozwiązać - nie należy się nim martwić, a jeśli nie ma on rozwiązania - martwić się nie ma sensu” (dwa dni temu obejrzałam po raz pierwszy od początku do końca „Siedem lat w Tybecie” z Bradem Pittem i stąd jestem taka mądra : - )).

No to nie będę się martwić, bo to nie ma sensu!

\* \* \*

A my z Kajtkiem zrobiliśmy sobie dzisiaj wyprawę do centrum Warszawy, żeby się nie nudzić w domu. Codziennie

wymyślamy sobie coś nowego, coś takiego, żeby mieć o czym rozprawić przed zaśnięciem.

W poniedziałek mieliśmy WIELKĄ, POWÓDZ w domu, bo mama zapomniała włożyć wąż od pralki do wanny. No i było bieganie boso po wodzie, nabieranie wody z podłogi szufelkami, wylewanie do wiadra i ogólnie kupa radochy!!!

A dzisiaj była podróż autobusem, potem poszliśmy do banku i robiliśmy elektroniczne przelewy. Po banku wyprawa tramwajem do „Smyka” na Kruczą, a na końcu obiad i lody w „Sfinksie”.

Mogłam spokojnie porobić sobie zakupy, bo Kajetan w końcu odważył się posiedzieć sam w „Smykolandii”. To znaczy nie sam, tylko z dwiema paniami i innymi dziećmi, ale to był prawdziwy cud. Kajtek, jako że nie chodził i nie chodzi do przedszkola, a mamy mało znajomych z małymi dziećmi, wychowuje się praktycznie wśród dorosłych. I do tej pory nie lubił towarzystwa innych dzieci. Nawet na placu zabaw nie szukał kontaktów z dziećmi, tylko wolał bawić się sam albo z mamą (tata w drugiej kolejności : -)). Nie chcieliśmy nigdy zmuszać go na siłę do integracji, czekaliśmy po prostu, aż sam do tego dojrzeje. Taki po prostu jest, chyba trochę introwertyk (to po swoim tacie).

No i dzisiaj w „Smykolandii” tradycyjnie poprosił, żebym pobawiła się z nim przy garażu samochodzikami. Za nic w świecie nie chciał wejść do tunelów i poskakać w kulkach, bo tam przeszkadzały mu właśnie inne dzieci. Po pół godzinie podszedł do nas czteroletni Kuba i coś do Kajtka zagadał. Ten najpierw odburknął, ale po krótkim oswojeniu się zaliczył samotny (tzn. bez mamy) bieg wokół placu zabaw w pogoni za kolegą. Ja tylko przyglądałam się w milczeniu kolejnym etapom wtajemniczenia w znajomość Kajtek - Kuba, nie chciałam niczego zapeszyć. Kiedy jednak dobrnęli do wspólnych wyglupów w basenie z piłkami, zapytałam Kajtka,

czy mogę wyjść na chwilę do toalety i czy mógłby tu na mnie poczekać, bawiąc się z kolegą.

No a ten się po prostu zgodził po raz pierwszy w życiu!!! Nie tylko zaliczyłam toaletę, ale również przeczesalam regały z wyprzedazą na trzecim piętrze, a przy okazji kupiłam małemu ciepłą piżamę i sportową bluzę z samochodem na torsie. Jak wróciłam, Kajtek był pogrążony w zabawie i zupełnie nie zwrócił na mnie uwagi. Wiedziałam, że on potrzebował czasu, żeby się tak otworzyć. Że obserwując z boku inne brykające dzieci, tak naprawdę chciał się razem bawić. Brakowało mu tylko odwagi i śmiałości. Dzisiaj trochę się przełamał, co mnie bardzo cieszy. Oboje byliśmy dumni z jego samodzielnej zabawy, co oczywiście zrelacjonowaliśmy ze szczegółami tacie przez telefon. Potem uczciliśmy tryumf Kajtusia w „Sfinkcie” frytkami, shoarmą i pucharem lodowym.

31 grudnia 2005

Jest godzina 22:46. Sączymy leniwie swoje drinki (niektórzy z nas bezalkoholowe), Piotrek ogląda jakąś głupkowatą komedię w telewizji (podobno się nie znam), więc z nudów otworzyłam laptopa.

Jest ostatni dzień roku, a ja będę pisać o rozczarowaniu.

Tak, przeżyłam dzisiaj lekki (a może ciężki?) zawód. Nie miłosny, bo tu wszystko gra, ale równie dotkliwy. Znowu rozczarowałam się ludźmi. Piotrek tylko mnie zbeształ, że nigdy nie wyciągam wniosków i dlatego za każdym razem tak mnie to dotyka. A ja, jak tylko nadarzy się okazja, naiwnie daję ludziom kolejną szansę, a potem jest mi tak przykro jak dzisiaj.

Mamy wspaniałych WARSZAWSKICH znajomych - takich na poziomie, ładnie ubranych, inteligentnych i w ogóle z klasą. Co jakiś czas łudzimy się, że niektórzy z nich to może nie tylko znajomi, a ktoś więcej...

Są naprawdę wspaniali... dopóki niczego się od nich nie oczekuje.

Byłam cały tydzień sama z Kajtkiem w domu. Wiadomo, trzylatek już nie śpi w dzień, więc taki tydzień wygląda trochę jak maraton. Poza tym te długie, zimowe wieczory. A dzisiaj przeżyliśmy dodatkowy stres, bo myśleliśmy, że Piotr już nie dotrze na sylwestra do domu. Jechał samochodem z drugiego końca Polski, a warunki na drogach są tak fatalne, że maksymalna prędkość to 60 km na godzinę (po prostu w końcu dała o sobie znać prawdziwa zima - dookoła jest białutko, a drogi w samej Warszawie w niektórych miejscach po kolana zasypane śniegiem). Piotrek wrócił przed dwudziestą, więc całą sobotę też siedzieliśmy sami w domu...

No ale od czego ma się znajomych? Zadzwoniliśmy w poniedziałek z zaproszeniem na kawkę do nas - nie mieli czasu. Zadzwoniliśmy we wtorek - pudło. Zadzwoniliśmy w

czwartek (żeby nie wyglądało, że się narzucamy - środę sobie odpuściliśmy) - nie mieli czasu. W piątek też nie mieli i obiecali, że może na godzinkę w sobotę. W sobotę, jak byliśmy na spacerze, to nagrali się na sekretarkę w domowym telefonie, że nie przyjadą, bo pada śnieg. Przecież noszę przy sobie komórkę, więc mogliśmy pogadać, ale tylko się nagrali... Teraz dostałam krótkiego SMS - a z życzeniami noworocznymi i sprawa jest załatwiona. Tak w ogóle to nie ma żadnej sprawy...

Nawet chyba sobie nie wyobrażają, jak było mi dzisiaj przykro z tego powodu. Właśnie w tym tygodniu tak bardzo potrzebowałam godzinki rozmowy przy kawce z MOIMI ZNAJOMYMI. Przecież godzinka to nie aż tak wiele, a pomogłaby na cały tydzień. Kajtuś też czekał codziennie, bo chciał pokazać cioci i wujkowi swoją wielką choinkę i wszystkie prezenty od Mikołaja. Od poniedziałku każdego dnia mamy w domu świeże ciasto, bo a nuż przydałoby się...

Ale to jest takie warszawskie. Tu ludzie nie mają czasu żyć własnym życiem, co dopiero wczuwać się w cudze. Ludzie w dużym mieście mają plany, terminarze, priorytety. Jeśli nie zabukujesz się miesiąc wcześniej, niestety - brak miejsca. Najlepsze przyjaźnie to takie, które można załatwić przez Internet. Bo czas to pieniądz, a kłopotliwe przyjaźnie niestety ten czas kradną.

Moi rodzice w małym miasteczku spędzają sylwestra u sąsiadów, a w warszawskich nowoczesnych, strzeżonych osiedlach mężczyzna nie powie „dzień dobry” kobiecie wsiadającej do tej samej windy. Co ja mówię! Nie stać go nawet na odburknięcie „dzień dobry”, gdy w windzie to ja odezwę się pierwsza. Wszyscy patrzą na siebie spode łba, wyprowadzają dzieci do przydomowych placyków typu „Big Brother” i pilnują, czy przypadkiem żaden intruz z sąsiedztwa nie narusza ich prywatności i nie spróbuje podstępem dostać

się do cukierkowej piaskownicy ogrodzonej wysoką bramą zamykaną na klucz. Mieszkaliśmy dwa lata w takim ekstranowym bloku - studni. Okropność!!!

\* \* \*

O, północ! Czuję się jak w schronie przeciwlotniczym, strzelają z każdej strony. Dziecko śpi i nie zwraca uwagi na hałas - nadaje się chłopak do artylerii : - ) Dzidziuś w brzuszku też spokojny.

Toaścik, buziaczek i jest OK. Będzie spokojny rok. Oby... : - )

\* \* \*

A wracając do tematu, to postępując zgodnie z zasadą „win - win” postanawiam przekształcić porażkę w sukces lub przynajmniej pouczającą naukę: przypomniano mi, gdzie jestem. Nieważne, skąd pochodzę, ważne gdzie teraz jestem, a jestem tu - w wielkim obcym mieście i od dzisiaj będę akceptować jego zasady.

I nie będę się obrażać.

Odpisuję na życzenia SMS - owe.

Jest cool!!!

3 stycznia 2006

Muszę coś napisać, bo zaraz zwariuję... - Chcę jeść!!! - rano wrzeszczy Kajtek.

- OK. Idziemy do kuchni i coś wymyślimy, tylko już nie wrzeszcz!!! - wrzeszczę tym razem ja.

Otwieram lodówkę i pytam:

- Parówki? - Nie!

- Jajecznica? - Nie!!

- Kanapka z szynką? - Nie!!!

- Kanapka z pasztetem? - Nie!!!!

- Placki z dżemikiem?

- Tak!!!!!! Telaz! Telaz! Telaz!

- Nie teraz, tylko zaraz! Uspokój się i poczekaj. Muszę je usmażyć.

Wstawiam mleko na kakao. Wyciągam mikser, miksuję pianę z jajka, potem żółtko, mąkę i śmietanę. Kajtek zasiadł w swoim wysokim kuchennym krzeselku, przyniósł do kuchni resoraki i autobus - będzie je przy stole naprawiał wykałaczkami. Nie mam gdzie postawić talerza i kubka, ale niech tam! Przynajmniej jest spokój. Wlewam ciasto na rozgrzany tłuszcz, mleko zaraz będzie kipiało.

- Wysadź mnie, już nie chcę się bawić. Chcę telaz oglądać bajkę!!!

Nie odzywam się. Czuwam przy kuchni.

- Wysadź mnie!!!

Wyłączam mleko, wydaję placek na talerz, wysadzam małego. Włączam kanał z bajkami. Drugi placek skwierczy na patelni. Zanoszę demonowi kakao i pierwszy placek posmarowany dżemem wiśniowym.

- Nie chcę placka!!!

- Jak to nie chcesz??? Mówiłeś, że chcesz.

- Ale telaz nie chcę!!!



- Wiesz co? Nic mnie to nie obchodzi. Zrobiłam placek i będziesz teraz jadł placek!!!

Idę obrażona do kuchni.

Kajtek, też obrażony, chwytą za widelec i wkłada kawałek placka do buzi. - Ałaaa!!! Wracam.

- Co „ała”??? Przecież nie gorący. Źle zgadłam.

- Ugryzłem się! - ryczy Kajtek, jakby odgryzł sobie rękę.

- Wiesz co? Już przestań panikować i po prostu jedz. Zaraz ci przejdzie, przecież nic się nie stało!

- Właśnie ze stało!!!

No tak, faktycznie się stało - czuję z kuchni zapach spalenizny. Kurde! Biegnę wkurzona - oczywiście drugi placek czarny jak węgiel. A mój mały diabeł dalej wyje.

- Co jest????!!! - wyję i ja. - Czy ty w końcu przez chwilę będziesz cicho? Zamknij się już i jedz!!! (to było bardzo pedagogiczne...)

- Nie będę jadł!!! To już zimne!!! Chcę coś jeść!!! Zaraz go zabiję... Raz, dwa, trzy... Głęboki oddech...

- I wytsyj mi nos! Mam mokły nos!!! Nos, nos, nos!!! - mały potwór nie daje za wygraną.

Tylko spokojnie, dziesięć głębokich wdechów i wydechów. Świat jest harmonijny, a ja każdego dnia bezustannie się doskonalam... Wysmarkaliśmy nos i ustaliśmy, że przyniosę bułeczkę z dżemem. Kroję bułkę, smaruję masłem i dżemem, niosę do pokoju.

- Wolę z synką...

Bez słowa wyrzucam do śmietnika kanapki z dżemem. Robię z szynką. Tym razem Kajtek je w spokoju.

Kuchnia wygląda, jakby przeszło przez nią tornado. Z nerwów boli mnie brzuch. Nie mam siły zmywać. Chcę, żeby ktoś natychmiast przyszedł i zastąpił mnie choć na godzinę przy dziecku. Zapłacę! Ale nikt nie przyjdzie. Piotrek znowu jest w trasie...

Mój demon i ja mamy przed sobą cały dzień, a jutro następny.

Zwariuję!!!

Nieprawda! Dam radę...

# Baba Jaga i maratończyk

7 stycznia 2006

Od prawie dwóch godzin jest sobota. Nie mogę zasnąć po przebudzeniu na siusiu. Sześćdziesiąt minut przewracania się i głupich, męczących myśli to granica, po której muszę wstać i czymś się zająć, inaczej zwariuję. Potem znowu przychodzi senność.

Piotr wrócił dwa dni temu z podróży służbowej do domu, a dzisiaj o szóstej rano znowu wyjedzie na cały weekend, tym razem w góry. Weźmie udział w jakimś kolejnym bardzo ważnym maratonie. Wow!!!!

Spędził z nami dokładnie dwa dni po dwie godziny dziennie i znowu zostajemy sami...

Piotrek jest zagorzałym sportowcem hobbystą. Jego pasją są maratony i kiedy tylko ma wolną chwilę - biega. A jak nie biega, to jedzie na tenisa albo na siłownię. Mają w Polsce taką grupę zagorzałych fanów maratonów i od czasu do czasu organizują sobie spotkania, takie jak to dzisiaj. Maratony rekompensują mu niezrealizowane marzenia o karierze sportowej. Czy można zabronić człowiekowi rozwijania swojej pasji? Przecież życie jest tylko jedno i trzeba je przeżywać w pełni, chwycić każdą chwilę.

Ekonomista i szkoleniowiec w dużej międzynarodowej korporacji to nie jest prawdziwy Piotrek. Pracę traktuje bardzo serio i jest w niej perfekcyjny, ale to nie jest to, co by go kręciło. Hasło „maraton” to dla niego jak pełnia księżycy dla wilkołaka. Nic nie poradzi, że budzi się w nim instynkt. Bo prawdziwa pasja i samorealizacja Piotra to sport.

Poniekąd wzięłam ślub również i z tym jego świętym hobby. Choć Piotr często deklaruje, że jego marzeniem jest posiedzieć w końcu w domu i nic nie robić - jest nieszczęśliwy i niespełniony. Bardzo mało odpoczywa, krótko śpi, wciąż mu brakuje czasu na pogodzenie wszystkich rzeczy.

Jego życie toczy się samo, nie ma wpływu na terminy swoich wyjazdów, na korki w mieście, intensywność treningów. Czasem z czegoś musi zrezygnować, bo doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny. Rezygnuje najczęściej z tego, co jest w stanie funkcjonować bez jego udziału - z rodziny. Za takie życie - życie z pasją - niestety płacę ja i Kajetan, a już niedługo: ja i dzieci.

Sytuacja właściwie nie ma rozwiązania, bo mieć męża częściej w domu, ale za to nieszczęśliwego, to nie to, czego bym pragnęła.

Kiedyś Piotr mi powiedział, że zamiast szykować kolejną wymówkę, sama powinnam się czymś zająć. Wtedy postanowiłam zrobić coś tylko dla siebie i zapisałam się na siłownię. Wyglądało to tak, że po dziesięciu godzinach w pracy wpadałam do domu tylko na chwilę, żeby skubnąć coś na obiad, zwalniałam nianię, czekałam na swojego brata (studiuje w Warszawie), a kiedy zmienił mnie przy Kajtku, z językiem na brodzie pędziłam na siłownię. Tam przez chwilę czułam się jak lady fitness lub co najmniej bogini seksu.

Kajtek siedział w swoich zabawkach lub przed telewizorem od siódmej rano i czekał cały dzień na mnie. W dni, kiedy miałam siłownię, wracałam późnym wieczorem. Kajtka układał do snu Piotrek i często po powrocie widziałam tylko w małym pokoiku śpiąco - sapiące ciało ze smutnym i zawiedzionym wyrazem twarzy. I zrozumiałam, że wcale mi o to nie chodzi, żeby wyrwać z życia coś tylko dla siebie. Tak umarło moje postanowienie o doskonałej sylwetce.

Ale mnie jest łatwiej, bo nie mam w sobie żadnej pasji. Nie mam rozterek związanych z niezrealizowanym życiem. Cieszę się tym, co mam, a zawsze kiedy tylko mam okazję, staram się być szczęśliwa.

Odkąd to zrozumiałam, odkrywam sobie świat, ale tylko z Kajtkiem. Piotrek tylko czasem nam towarzyszy...

Właściwie od samego początku wiedziałam, na co się decyduję, bo na nauki przedmażeńskie chodził ze mną zaprzyjaźniony sąsiad w zastępstwie prawdziwego przyszłego małżonka. Piotrek miał wtedy okres intensywnych treningów przed jakimś maratonem. Sąsiadowi bardzo spodobało się zastępstwo i polecał się także na szkołę rodzenia : - ) Opowiadaliśmy to znajomym jako anegdotę, ale już wtedy dostałam ZNAK, jak będzie przez całe życie. Na szkołę rodzenia chodziłam sama, bo znowu coś tam...

Pokłóciliśmy się wczoraj wieczorem. W końcu jestem w szóstym miesiącu ciąży, a dalej pcham cały ten majdan sama! Kiedy jednak zobaczyłam jego rozdarcie i targające nim poczucie winy - spasowałam. Tak naprawdę nic nie można poradzić, przecież nie zabronię mu tego wyjazdu, a już na pewno nie chciałabym, żeby zrezygnował z niego ze względu na mnie i moje wymówki. Nie zniosłabym takiej sytuacji. Z naturą nie wygrasz.

A wiem, że Piotrka wiecznie coś gna. I może właśnie za to go lubię i podziwiam. Za to, że ma w sobie tę iskrę, siłę i niezależność. Za to, że ma warstwy tak jak Shrek : - ) Za charakter, czasem bardzo silny i wymagający ode mnie niezłych forteli, żeby go przechytryć. Nie jest w każdym razie nijaki, bo nijakiego męża po prostu nie mogłabym mieć.

Przyjdzie dzień, że znowu mi powie, że jestem najukochańszą żoną na świecie. I najsilniejszą...

Łudzę się jeszcze, że może na starość będzie miał więcej czasu. Będzie wtedy rozpalał rano ogień w kominku i parzył kakao na śniadanie, a potem z poczuciem dobrze wypełnionej misji będziemy sobie wspominać, oglądając albumy ze zdjęciami.

Taki właśnie jest Piotr Skiera.

Kobiety, strzeżcie się facetów z pasją! : - )

9 stycznia 2006

No i dopadły mnie demony!!! Czuję się fatalnie, to chyba samotność albo syndrom zamknięcia w czterech ścianach.

Obliczyłam, że ostatnio przesiedziałam z Kajtkiem non stop czternaście dni i nocy. Sama. Można polubić każde zajęcie i co dzień od nowa się nim cieszyć, ale potrzebne są chwile do nabrania dystansu. Czyli odpoczynek, przerwa, wytchnienie czy jak to tam zwał. A ja ciągiem czternaście dni i od dzisiaj zaczynamy kolejny tydzień. Od długiego poniedziałku... Super!

Piotrek wrócił wczoraj późnym wieczorem. Wygrali maraton, zakwalifikowali się gdzieś tam, a ja, żoźza, nawet nie pogratulowałam. Od progu powitałam męża obrażoną miną i wymówkami. Teraz Piotrek jest na mnie zły, że ja jestem zła.

Ale ja nie jestem zła, tylko mnie jest źle!!! A to różnica.

Jestem zmęczona, mam dość, nie obchodzą mnie w tej chwili jego sukcesy!!! Źle! Wróć! Inaczej: nie mam w tej chwili siły cieszyć się jego sukcesami...

Nie dogadaliśmy się wczoraj...

Kurczę, jak sobie z tym wszystkim poradzić??? Może wyjadę z Kajtkiem do mamy na trochę? Tu naprawdę nie mam do kogo gęby otworzyć w ciągu dnia. Poluję na jedną sąsiadkę z osiedla, która spaceruje z wózkiem, ale ostatnio i tu nie mam szczęścia.

Czy ja popadam w depresję poporodową? Chwila! Chwila! Trochę za wcześnie, przecież jeszcze trzy miesiące! A może by tak znaleźć sobie jakąś grupę wsparcia? Na przykład przez Internet. Jak Kajtek był malutki, to zaglądałam sobie czasem na forum w eDziecku, żeby posłuchać problemów innych zmęczonych kobiet, „uwięzionych” tak jak ja w czterech ścianach. Muszę przyznać, że nie bardzo interesują mnie anonimowe znajomości. Poza tym tworzyły się tam takie

towarzystwa wzajemnej adoracji, co już zupełnie mnie nie kręciło. To nie to i już!

Biedny Kajtek! Powstrzymuję się jak mogę, ale ostatnio dość często swoje złe humorki odreagowuję na nim... : - (

Dzisiaj w ramach walki z ogarniającą mnie beznadzieją wzięłam sobie rano prysznic, wybalsamowałam się, ułożyłam włosy, umalowałam i... trochę pomogło. Odbyliśmy sobie potem z dzieckiem dwugodzinny spacer do parku. Było ślicznie, biało, mroźno i słonecznie.

Jak wróciliśmy do domu, okazało się, że robotnicy właśnie rozwiercali naszą ścianę (wymiana kabli na zewnątrz budynku). Hałas, że nie słycać telewizora - okropność!!! I mieszkaj tu człowieku w bloku: jak nie sąsiad, to administracja zatruwa ci życie. Resztki mozolnie uzbieranego optymizmu przysły!

Kajtkowi chyba udzielił się mój nastrój, bo dał się namówić na popołudniową drzemkę. Jest siedemnasta, a on jeszcze śpi. Ciekawe, co to będzie w nocy? Ale to problem Piotrka, po dziewiętnastej zaczyna się jego dyżur...

Jestem Babą Jagą : - )



10 stycznia 2006

Demony trochę uśpione. Kłótnia małżeńska zażegnana. U nas nigdy nie trwa to zbyt długo (obrażamy się góra na dwie godziny).

Powstał „plan naprawy sytuacji”: mam się rozejrzeć za nianią na godziny, która będzie przychodzić do nas zaraz po urodzeniu dzidziusia i trochę mnie wspierać, gotując obiady albo wychodząc z maluszkiem na spacer. A najlepiej, żeby zaczęła od zaraz i w czasie nieobecności Piotra w Warszawie odciążała mnie trochę przy Kajtku. Jak się nie ma życzliwych dusz wokół siebie za darmo, to się za nie płaci : - )

Byłam dzisiaj z Kajetanem w gabinecie medycyny alternatywnej i wykonaliśmy testy alergiczne metodą biorezonansową (małemu wyskoczyły jakieś paskudztwa na skórze). Okazało się, że rzeczywiście jest alergikiem uczulonym głównie na białko mleka krowiego, laktozę, żółtko jaja kurzego i kurz domowy. Na szczęście nie doszły do tego żadne grzyby, owoce, ryby czy zwierzaki. W sumie jest tego niewiele i gdyby był starszy, nie byłoby problemu. Ale Kajtka uczulają największe smakołyki trzylatka - mleko, jogurty, danonki, masło, kakao Nestle, czekolada, no i ulubione jajka.

Nie mówiąc już o wszechobecnym kurzu.

Ale będziemy się odczuwać! Podobno u dziewięciu na dziesięć dzieciaków skutkuje to ustąpieniem reakcji alergicznych raz na zawsze, czasem trzeba powtórzyć zabiegi po roku lub dwóch. Wszystko jest bezbolesne i bezinwazyjne, a więc zaryzykujemy. Zaczynamy od mleka i cukru mlecznego (laktozy). Na dziesięć dni przed wizytą musimy wyeliminować z diety wszystkie produkty z uczulającym alergenem. Ciekawe jak przekonam Kajtka, że właśnie przestali produkować danio? To będzie trudne, bo maleńtas ma znajomości w osiedlowym sklepiku i zawsze kiedy dopada

go jakaś „zachcianka”, podczas spaceru sam robi zakupy. A mama stoi obok i spłaca „kreskę” : - )

Muszę poprosić o wsparcie właścicieli sklepu.

20 stycznia 2006

Kajtuś na diecie bezmlecznej. Dopiero zaczynamy drugi dzień. Na razie idzie nam całkiem nieźle. Jak potrzebuję mleka do placków albo jajecznicy, to rozrabiam sojowe bebiko dla niemowląt, a danio i czekolady po prostu nie ma i koniec. Mały się chyba z tym pogodził.

\* \* \*

Parę dni temu odwiedził nas kolega Piotrka - drugi zapalony sportowiec. Ustalali terminy treningów. Zjedliśmy kolację i... nie dało się o niczym innym porozmawiać, jak tylko o tym cholernym bieganiu. Facet chyba pomyślał, że jestem bezkształtną szarą masą zlaną ze ścianami kuchni i z czymś takim to nie ma o czym gadać. No bo o czym rozmawiać z kobietą, która wygląda tak jak ja teraz: nieumalowana, szeroka, w szarych dresach ze sklepu dla ciężarnych, w dodatku codziennie wertująca „Tele Tydzień” - żeby sprawdzić, co będzie w Discovery, no ale kto mi uwierzy? : - )

Zażartowałam, że może obejrzę sobie grafik chłopaków, bo mój mąż pojawia się w nim częściej niż w grafiku domowym. Wtedy kumpel odpowiedział, że bym się nie obrażała, ale według niego tak jest prawidłowo. No szkoda, że nie miałam pod ręką czegoś ciężkiego, bo dostałby w łeb!!!

Piotrek nerwowo zerkał w moim kierunku i dawał mi „znaki dymne”, że bym przypadkiem nie zrobiła czegoś głupiego (wie, że takie teksty działają na mnie jak płachta na byka). Ale poczułam się sprowadzona do parteru. Gość nawet nie zapytał, jak się czuję, tocząc przed sobą takie wielkie brzuszysko i stawiając czoła wszystkim tym codziennym domowym obowiązkom. Tak całkiem niezobowiązująco, na zasadzie „jak się masz?”.

\* \* \*

Za oknem minus 20 stopni. Autentycznie!!! To rekord tegorocznej zimy. Ucieliśmy sobie z Kajtkiem popołudniową drzemkę, bo o spacerze w taki ziąb nie ma co marzyć. Cały dzień jest jakiś taki zamrożony i płynie w zwolnionym tempie. Ja już się wyspałam, właśnie popijam sobie popołudniową kawę. Mały jeszcze drzemie.

I nagle mąż dzwoni do mnie z „dobrą wiadomością”: podpisał kontrakt na dodatkowe szkolenia za ekstra kasę! Dodatkowe to znaczy sobotnio - niedzielne : - ( Wynagrodzenie rzeczywiście jest kuszące i mamy okazję uzbierać trochę gotówki. Może nawet pomyślimy o budowie własnego wymarzonego domu? Na razie umowa obejmuje cały rok, ale jest szansa, że projekt wydłuży się o następny okres. Hurra?

Zamiast się cieszyć i gratulować, jęknęłam do słuchawki, a Piotr się na mnie wkurzył. Bo ciągle marudzę, że nie mamy kasy. A jak on się dwoi, troi i stara się ją zdobyć, to mi znowu źle. Jestem okropną żoną!!!

Powiedziałam tylko, żeby sprawdził w kalendarzu, co ma zaplanowane na 18 kwietnia, bo może nie będzie miał czasu zawieźć mnie na porodówkę. Wolę być na to przygotowana...

Potem był trzask słuchawki.

Parę dni temu w telewizji śniadaniowej usłyszałam, że przeprowadzone wśród kobiet badania dowodzą, że najgorszą rzeczą, jakiej kobiety na pewno nie wybaczą swojemu mężczyźnie, nie jest zdrada, ale nieudacznictwo, niezaradność i brak kasy. Właśnie umiejętność zarabiania pieniędzy okazuje się najbardziej zapalnym punktem w związku. A mój małżonek, muszę to przyznać, naprawdę jest zaradny. Już parę razy bywało tak, że przysłowiowy grunt obsuwał się nam spod nóg. Piotrek chyba dwa razy tracił pracę, wpadaliśmy w długi. Za każdym razem wystarczało zaledwie parę tygodni, aby

znowu znaleźć się na wierzchu. I za każdym razem była to zmiana na lepsze.

Od dłuższego czasu układa się nam całkiem dobrze, a ja teraz mam problem w drugą stronę. Owszem, będą pieniądze, kupimy wszystko, czego potrzebujemy dla dzieciaków, spłacimy resztki kredytów, może nawet gdzieś wyjedziemy i jeszcze coś odłożymy, a ja się obrażam. Tak naprawdę to nie znam faceta, który by dobrze zarabiał, a jednocześnie często bywał w domu. Może tylko taki, co żyje z procentów od lokat... Wychodzi na to, że ten, który ciężko haruje, musi potem swoje wysłuchać od żony. Ma za swoje, że nie został singlem : - )

Muszę chyba pójść do psychiatry, bo nie radzę sobie  
Z DOBRYMI WIADOMOŚCIAMI...

22 stycznia 2006

Noc z soboty na niedzielę. Godzina 3:57. Na zewnątrz 27 stopni mrozu. Wieje od okna kuchennego, ale nie będę robiła hałasu i parzyła sobie gorącej herbaty. Owijam się dokładniej w polarowy szlafrok Piotrka i jakoś da się wytrzymać.

Czekam. Kajtek od jakiegoś czasu budzi się mniej więcej o tej godzinie i płacze, że boli go gardło. Robię mu ciepły sok malinowy, który sączy przez słomkę w swoim łóżku, a potem śpi do rana. To chyba wina wysuszonego powietrza i odkręconych na całą parę kaloryferów. Nie pomagają nawet nawilżacze. Poza tym Mały śpi połowę nocy odkryty i dodatkowo przemarza mu ciało. Stąd chyba to gardło...

Nie mogę zasnąć. Ostatnio męczą mnie koszmary związane z porodem. A to że nie zdążyłam się spakować i nic nie wzięłam do szpitala, a to że wody płodowe odeszły mi w domu i zalały mieszkanie, a to że się męczę na łóżku porodowym i żadnych efektów prócz nieopisanego bólu... Muszę coś zrobić, bo jestem coraz bardziej niespokojna, jak to będzie tym razem. Uparłam się na cesarkę - muszę tylko znaleźć lekarza, który uznałby, że są do niej wskazania medyczne (na łąpówkę w granicach pięciu tysięcy raczej nas nie stać, poza tym szkoda kasy).

Ale tak jak poprzednio wszystko jest do bólu prawidłowe i nie ma żadnego punktu zaczepienia do cesarskiego cięcia poza jednym: duże dziecko. Mam nadzieję, że USG w dziewiątym miesiącu wykaże, że dzidzius jest ponadczterokilowy i lekarze zgodzą się na drogę na skróty. Kajtek był duży, a dwa USG, które robiłam teraz, potwierdziły, że teraz dzidzia też jest z tych większych.

A więc cień nadziei...

Zapisałam się na 13 lutego do ginekologa w przychodni szpitala, w którym będę chciała rodzić (najbliższy naszego domu). Może spróbuję pogadać z lekarzem jak z człowiekiem

i coś uda mi się wynegocjować? Wolałabym mieć większą pewność, że to jest możliwe. Swój macierzyński obowiązek w zakresie naturalnego porodu już spełniłam. Wiem wszystko o zaletach porodu naturalnego i o ujemnych konsekwencjach cesarki, ale nic mnie to nie obchodzi.

Ja tylko chcę, żeby nie bolało!

A przynajmniej, żeby nie bolało aż tak długo, jak za pierwszym razem...

W ogóle ostatnio zaczęłam mieć problemy ze spa - niem. Śpię prawie na siedząco, a i tak zdarzają się dni, że ciężko mi oddychać i po cichutku sapię i gwizdzę. Mamy z Piotrkim oddzielne kołdry, bo różnica w poziomach naszych poduszek to prawie jak parter i piąte piętro. Bolą mnie w dodatku boki, bo nigdy nie uciskał ich taki ciężar (teraz chyba jakieś 7 kilo więcej), no i zatyka się nos. Chodzę więc po domu jak jakiś nocny marek, robię siusiu co najmniej pięć razy, rozmasowuję sobie kości i czekam z niecierpliwością na rano. Wszystko to w ciąży normalne i wiem, że nie wariuję - muszę tylko poczekać trzy miesiące. Potem z kolei zacznie się w drugą stronę: będę marzyć o śnie...

Dopadła mnie jeszcze jedna dolegliwość. Nie zdarza się u wielu ciężarnych, mnie niestety dręczy już po raz drugi. A mianowicie w nocy, jak się źle położę, a nawet jak się położę normalnie, tylko ucisk jest zbyt długotrwały, to wypada mi prawy staw szczękowy. Budzę się wtedy i nie mogę otworzyć buzi, bo się zacięła : - ) Wbrew pozorom to wcale nie jest śmieszne, bo przy nastawianiu boli, a przynajmniej nic w tym przyjemnego. Trzeba sobie masować staw i po jakimś czasie wskakuje na miejsce - taki głuchy kostny szcęk, jakby kliknięcie. W ogóle od czasu pierwszej ciąży ten staw mi strzela. Jest to chyba efekt wypłukiwania się płynu w torebkach stawowych i rozsuwania kości. Za pierwszym razem strasznie spanikowałam i sprawiłam sobie dużo bólu,

zanim to cholerstwo z powrotem nastawiłam, a teraz to olewam. Dolegliwość jest oswojona. Jak się obudzę i czuję, że ze szczęką jest coś nie tak, to kładę się na drugi bok dla zrównoważenia ucisku i zasypiam. Najczęściej do rana wszystko wskakuje na swoje miejsce i po problemie. Ale w sumie głupia sprawa i jak komuś o tym opowiadam, to się ze mnie śmieje.

Śmieje się też Piotrek - mówi, żebym go budziła w takich krytycznych momentach, to mi prawym sierpowym wszystko ustawi na miejsce.



27 stycznia 2006

Dzisiaj kolega przyniósł Piotrkowi stare numery męskiej gazetki „Mens Health” - opracowywali sobie z nich plan treningu na rozwój jakichś tam partii mięśni do „czegoś tam”.

Z babskiej ciekawości i dla lepszego poznania płci przeciwnej przejrzałam pobieżnie kilka egzemplarzy (oczywiście jak już chłopaki mnie nie widzieli) i mnie zmroziło. „12 miejsc na superseks. Sprawdź je!” „Zbuduj mocną sylwetkę - 9 sekretów dużych mięśni”, „TEST: czy ona do Ciebie pasuje?”, „Seks, o którym będzie opowiadała koleżankom”, „7 patentów na szybki awans”, „Jedz za dwóch i chudnij”, „PIJ TO! Napój na lepszą potencję i inteligencję”, „Wyglądaj lepiej niż wczoraj - szeroka klatka, silne ramiona i płaski brzuch - gwarantowane”, „SEKS - 7 sygnałów, że ona Cię pragnie”, „Odkrycie w medycynie: więcej męskości w 9 minut”, „Jedzenie, które nakręca seks!”, „213 patentów na końskie zdrowie”, „Zarabiaj więcej, pracuj mniej”, „W łóżku bądź ekspertem - będzie cię błagała o więcej”, „Czy jesteś twardzielem?”, „Piwo i łóżko - najlepsze lekarstwa dla faceta!”...

To jakiś gotowy przepis na to, jak zostać bogiem!!! A ci faceci, jak oni wyglądają! Co prawda nie widziałam nigdy takiego egzemplarza w rzeczywistości, ale skoro podają stuprocentowe przepisy, to chyba coś w tym jest... Poza tym współczuję biednej niewiastce, którą weźmie w obroty facet naspidowany poradami z tego czasopisma : - ) Ale może się nie znam? Piotr też ma dziwną minę, kiedy wpadnie mu w ręce jakaś babska gazetka : - ) On jest z Marsa, ja z Wenus. A kto jest z Ziemi?

## TW Prosiaczek i kryzys trzydziestki

28 stycznia 2006

Byłam dziś u swojego ginekologa. Natychmiast rozpoznał, że - delikatnie mówiąc - życie mnie nie oszczędzało. Przez ostatni miesiąc znacznie skróciła mi się szyjka macicy i może to grozić przedwczesnym porodem. Zalecił nie forsować się i często leżeć. Kiedy powiedziałam, że to niemożliwe, zrezygnowany popatrzył na mnie i poradził, żebym przynajmniej zażywała nospę, jak tylko poczuję, że mam twarde brzuch. Tylko że ja mam twarde przez cały dzień...

Napisałam Piotrkowi SMS - a. Od dzisiaj nie noszę zakupów, nie zmywam łazienki i nie odkurzam. Nie będę też kąpać wieczorem Kajtka.

Ciekawe jak mocne okażą się te postanowienia...

29 stycznia 2006 - niedziela

Ostatnio hitem wśród zabaw Kajtka jest rozmowa z jego przyjacielem - Prosiaczkiem (ten od Kubusia Puchatka). Prosiaczek to taka różowa pacynka, którą muszę zakładać na rękę i przez cały boży dzień prowadzić dialogi z dzieckiem (najczęściej o samochodach). Czasami Prosiaczek jest moim tajnym współpracownikiem (tylko nie donieście, proszę :)). Wykorzystuję go, żeby poznać sekrety dziecka, bo swojemu przyjacielowi opowiada wszystko chętniej niż rodzicom. Dzięki niemu rozpracowuję, co dzieci robiły w przedszkolu albo dlaczego mały kłócił się z dziadkiem.

Kolejna zabawa nazywa się: „Cześć, stary”. Polega na tym, że spotykają się dwa samochody (jeden mój, jeden Kajtka) i sobie gadają w stylu: „Cześć, stary, co u ciebie słychać? Dokąd jedziesz?” itd. Takie zwykłe pogaduchy ludzi trasy. Ta zabawa to jak nigdy niezdzierająca się płyta:

- Mamo (albo tato), pobaw się ze mną!
- A w co się chcesz dzisiaj pobawić, Kajtuś?
- No w „Cześć, stary”!

Wtedy słychać jęk któregoś z dorosłych : - )

\* \* \*

Podobało mi się nasze dzisiejsze przekomarzenie. Trzylatek ma jeszcze problemy z wymową „r”. Zdałam sobie sprawę, że dziecko nie jest świadome, jak wymawia słowa i jest święcie przekonane, że robi to jak najbardziej poprawnie. Kajtek zjadał dzisiaj takie małe pudrowe cukierki w kształcie kóleczek i podpowiedział kwestię Prosiaczkowi:

- Mamo, powiedz Plosiackiem, że może zlobimy sobie z nich kolaliki.

No to ja wredna (oczywiście jako Prosiaczek):

- A może zlobimy sobie z nich kolaliki?
- Mamo, nie tak miałaś powiedzieć!!! Powiedz dobrze jak ja: „Może zlobimy sobie z nich kolaliki?”.

- Może zrobimy sobie z nich koraliki? - I w śmiech.  
- Nie tak!!! Powiedz teraz dobrze!!!  
- Dobrze.  
- Mamo!!! - Mały był bliski rozpaczony i patrzył na mnie jak na jakąś głupią.

Musiałam więc w tym momencie spasować.

- No już dobrze Kajtuś, nie denerwuj się. Przepraszam. Powiem teraz bez wygłupów: „A może zrobimy sobie z nich koraliki?”.

W tym momencie dziecko było usatysfakcjonowane, bo przecież dokładnie o to mu chodziło : - )

2 lutego 2006

Dzisiaj rano posadziłam Kajtka przed telewizorem z przykazaniem, żeby nigdzie się nie ruszał z kanapy do powrotu mamy. A sama wybiegłam na chwilkę do piekarni po świeże pieczywo na śniadanko i... wlałam w gówno. Dosłownie!

To co się dzieje na naszym osiedlu przypomina „Dzień świra”! Mnóstwo psów i znudzonych emerytek, które przelewają nadmiar niewykorzystanych uczuć na swoje pupile. Podwórko wygląda, jakby rozlało się po nim wielkie szambo. Szanowne panie sąsiadki z niezmiernym wyczuciem smaku przebierają swoje zwierzaczki w coraz bardziej wymyślne zimowe ubranka. Przemawiają do nich czułym głosem, jakby mówiły co najmniej do człowieka, nadają pieśczośliwe imionka typu Precelek. W ogóle są bardzo wyczulone na krzywdę zwierząt i gotowe zabić w obronie ich godności, ale są zupełnie głuche i ślepe, kiedy chodzi o zwykły porządek wokół ich własnego domu. PIES MA PRAWO!

Ja nie mam psa i przez to jestem niepełnowartościową mieszkanką osiedla. A za karę codziennie muszę przez cudze zwierzaki myć buty - swoje lub Kajtka. Spacer po podwórku to slalom między kupami różnych wielkości, konsystencji i maści. Kajtek jest już nauczony, że ma zawsze patrzeć pod nogi, bo kupa, a o wejściu na trawnik i zabawie piłką w ogóle zapomnieć. Bo kupa. Ile już razy obmywałam jego zabawki ze śmierdzącej mazi!!!

Chyba założę STOWARZYSZENIE PRZECIWKO KUPIE W MIEJSCU PUBLICZNYM i przeforsuję w sejmie wprowadzenie zaostzonego prawa: wysokich mandatów za niesprzątanie po swoim pupilku.

Pamiętam, co się działo na nowym osiedlu, na którym mieszkaliśmy zaraz po przeprowadzce do Warszawy: w bardzo krótkim czasie rozprzestrzeniła się „gówniana plaga” i

nic nie pomogły pięknie ostrzyżone trawniki czy chodniki wyłożone czerwoną kostką. Ale nie tylko tam - cała Warszawa jest dosłownie zasrana!!!

Dziś jednak przystąpiłam do działania. Wydrukowałam na komputerze anonimowy list do sąsiadów i mam zamiar rozwiesić go jutro na drzwiach wejściowych okolicznych bloków:

**DRODZY SĄSIEDZI!**

**PODZIWIAM TO, ŻE TAK WIELKĄ MIŁOŚCIĄ WIĘKSZOŚĆ Z WAS OBDARZA SVOJE ZWIERZAKI. ŚWIADCZY TO NA PEWNO O ZŁOTYM SERCU MIESZKAŃCÓW TEGO OSIEDLA.**

**BARDZO PROSZĘ JEDNAK, ŻEBYŚCIE ROZEJRZELI SIĘ WOKÓŁ SIEBIE I DOSTRZEGLI, JAK WIELKI PROBLEM STANOWIĄ ODCHODY PAŃSTWA ZWIERZĄT. PRZEJŚCIE CHODNIKIEM BEZ UBRUDZENIA OBUWIA W MAZISTEJ KUPIE STAJE SIĘ PO PROSTU NIEMOŻLIWE. POZA TYM WIDOK NASZEGO OTOCZENIA STAŁ SIĘ ZWYCZAJNIE NIESMACZNY.**

**CZY PROBLEM NIE ZOSTAŁBY ZAŁATWIONY, GDYBY KAŻDY Z WŁAŚCICIELI SPRZĄTAŁ PO SWOIM PUPILKU? WYSTARCZY MAŁA PLASTIKOWA ŁOPATKA I REKLAMÓWKA, A WIĘC KOSZT NIEWIELKI.**

**NIE WSTYDŹMY SIĘ PRYZWOITOŚCI!!!**

**AŻ TRUDNO UWIERZYĆ, ŻE NIKOMU Z PAŃSTWA TEN OKROPNY WIDOK NIE PRZESZKADZA.**

**OPRÓCZ SZACUNKU DLA ZWIERZĄT, O KTÓRY PAŃSTWO TAK WALCZYCIE NA NASZYM OSIEDLU, BYŁABYM WDZIĘCZNA ZA ODROBINĘ SZACUNKU DLA CZŁOWIEKA.**

**MAMA MAŁEGO DZIECKA, KTÓRE CODZIENNIE PO POWROCIE ZE SPACERU MA BUCIKI I ZABAWKI UBRUDZONE KAŁEM**

**A co mi tam!!! Najwyżej obrońcy praw zwierząt mnie aresztują... : - )))**

3 lutego 2006

Tuż po północy postanowiłam wstać i zjeść w kuchni kolację. I tak nie mogę leżeć, bo mam wrażenie jakby pękały mi żebra (chyba się rozciągają). Najwyraźniej dzidzia skombinowała sobie skądś imadło i powolutku je rozkręca : - ) Już nie pasuje mi żaden biustonosz, bo nawet ten, który ostatnio kupiłam - w rozmiarze 85 cm, pod biustem zaczyna się wpijać (normalnie noszę 75 cm). No i boli, czasami nie do zniesienia. Jak tu wytrzymać jeszcze dwa i pół miesiąca?

Piotrek dopiero wrócił do domu. Skończył dzisiaj szkolenia w Gdańsku i telepał się przez pół nocy samochodem do Warszawy. Pijemy razem herbatę, jest chwila, żeby trochę porozmawiać. Jutro znowu skoro świt wybiega z domu...



5 lutego 2006

Kończy się niedziela, bo już 21:30. Chłopaki oglądają w dużym pokoju jakiś dziwny film fantastyczny (Kajtek spał w dzień trzy godziny, więc ma dużo siły), a ja się nudzę. Może by tak położyć się spać?...

W kuchni jakoś zimno i nieprzytulnie, otworzyłam więc sobie laptop w Kajtka pokoju, postawiłam go na łóżku, a do siedzenia przytargałam taki niski stołeczek do obierania ziemniaków. Całkiem wygodnie, prawie jak w profesjonalnym biurze.

Plik moich protestów przeciw kupie nadal leży w domu. Moja działalność społeczna na razie została zawieszona, ale i tak jestem usatysfakcjonowana. Choć nie zostałam działaczką walczącą o prawa człowieka, za to wykazałam się na innym odcinku. Już od tego odwykłam, a było co podziwiać : - ) Wyobraźcie sobie panią prawnik w widocznej ciąży, która rozbija w pył bezduszną biurokrację. To właśnie ja! „Prawniczka z brzuchem”, odcinek 1 : - )

Któregoś dnia zadzwonił do mnie mój brat Jasek z prośbą o pomoc. Market, w którym chłopak dorabia do stypendium, przesłał mu pensję (raczej pensyjkę : - )), podając na przelewie błędny numer konta. Pensja, owszem, dotarła do banku, ale została zaksięgowana na cudzym koncie. Pani obsługująca klientów detalicznych przekazała bratu informację, że jest szansa wyksięgowania pieniędzy pod warunkiem wyrażenia na to zgody właściciela konta, na którym teraz są pieniądze. Trzeba czekać, powiadomimy. No i siostra ratuj!!! Poradziłam Jaškowi, żeby wziął od pracodawcy pismo potwierdzające pomyłkę z prośbą o zwrot błędnie przesłanej kwoty. Potem miał je załączyć do własnego podania i złożyć w swoim banku, najlepiej na ręce jakiegoś kierownika. No i w czwartek brat znowu do mnie dzwoni. Mówi, że pismo od tygodnia leży

w banku bez żadnej reakcji, a jego olewają na całej linii. Wymyśl coś siostra, bo potrzebna kasa!

Umówiliśmy się na piątek i pojechaliśmy razem do tego banku. Włożyłam na siebie najszerszy kostium, jaki miałam. Spodnie się oczywiście nie dopinają, ale związałam dwa końce kawałkiem gumki do majtek i spod zakietu nic nie było widać. Ledwo dopięłam płaszcz, umalowałam się i uczesałam, żeby wyglądało jak najbardziej galowo i profesjonalnie. Pochwyciłam teczkę (bez teczki taka akcja się nie liczy) i pojechaliśmy.

Pierwsza rozmowa z panią z okienka to oczywiście nie był mój główny cel, ale to dopiero początek odcinka : - )

- Dzień dobry. Proszę pani, przyszliśmy w sprawie reklamacji, którą mój brat złożył w pani okienku i do dzisiaj nie otrzymał na nią odpowiedzi. Przy okazji, jestem prawnikiem i wydaje mi się, że mogłabym pomóc rozwiązać ten mały problemik.

Tu nastąpiły formalności w stylu „ktoś pan za jeden, z jakiego dnia reklamacja, czego dotyczyła” itp. Kiedy pani już wszystko ustaliła, stwierdziła, że w standardach obsługi wyraźnie jest napisane, iż odpowiedź klient otrzymuje w ciągu siedmiu dni.

- W takim razie, skoro dzisiaj mija szósty dzień od złożenia pisma, to może zaoszczędzimy na znaczek pocztowy i poczekamy na odpowiedź teraz? - Tej kwestii nie uczą na studiach, sama ją wymyśliłam : - )

- Ale odpowiedź nie jest jeszcze przygotowana, proszę pani. Powtarzam, że bank...

- A może mi pani naświetlić, w czym tkwi problem? Państwa zachowanie jest zupełnie niezrozumiałe, bo sprawa jest bardzo prosta: właściciel konta został niesłusznie wzbogacony i wcale nie trzeba pytać go o zgodę na wyksięgowanie przelewu. Poza tym przelew miał niezgodność

w nazwie beneficjenta i natychmiast po zgłoszeniu państwu tego faktu powinien zostać zwrócony do nadawcy. Macie do tego wszystkie niezbędne dokumenty i od sześciu dni nikt nie kiwnął w tej sprawie palcem? Jest taka opcja jak storno, która kasuje błędną operację, nad czym więc państwo debatujecie? Chłopak chodzi od dwóch tygodni jak idiota i prosi o zwrot marnych paruset złotych!!!

- Ale proszę się uspokoić!

- Ale ja się wcale nie denerwuję, tylko pani ignorancja wyprowadza mnie z równowagi!!! Czy możemy porozmawiać z pani przełożonym?

- To chyba nie jest konieczne w tym wypadku...

- To jest jak najbardziej konieczne, proszę pani, bo praktyki takie jak ta powinny zostać zgłoszone do arbitra bankowego i proszę mi wierzyć, że jeśli dzisiaj nie załatwimy tej sprawy, to na pewno odpowiednie instytucje się o państwa profesjonalizmie dowiedzą.

- Proszę chwilę poczekać.

W tym momencie pani poszła po swoją kierowniczkę. Po drodze streściła jej zapewne, jaka pieniaczka siedzi przy ladzie. Ale już było dobrze, zaczęło się zamieszanie. Jasiek miał niezły ubaw.

- Dzień dobry. W czym tkwi problem? Czy mogę jakoś pomóc? - zapytała kierowniczka.

- Dzień dobry. Tak, chyba może pani pomóc, a problem został opisany sześć dni temu w reklamacji.

Pani z wymuszonym uśmiechem przeczytała treść bazgrołów mojego brata. Nie czekałam na reakcję:

- Nie będę tłumaczyła, na czym polega niesłuszne wzbogacenie, bo opisuje to dokładnie kodeks cywilny, ani też nie będę pani tłumaczyć, że standardy bankowe za prawidłowy uznają przelew, który posiada poprawny numer konta i JEDNOCZEŚNIE poprawną nazwę beneficjenta. W

przelewie opisanym w tym piśmie nazwa właściciela konta była nieprawidłowa, a więc pieniądze powinny zostać natychmiast zwrócone do nadawcy. Pozostawiając pieniądze należące do mojego brata na jakimś innym koncie, łamięcie państwo prawo i to jest dla mnie niezrozumiałe.

- No tak. Właściwie nie ma wątpliwości, że pieniądze w tym wypadku powinny zostać zwrócone do tego, kto je wysłał. Zaraz się tym zajmujemy. Operacje księgowe są wykonywane poza naszym oddziałem, więc może to trochę potrwać, ale zapewniamy...

- Dobrze, my poczekamy - ucięłam krótko wypowiedź tej pani, a ona już nie miała siły z nami rozmawiać i poszła wykonać parę telefonów.

Pozbyli się nas, dopiero jak uzyskaliśmy zapewnienie, że kasa właśnie została przesłana na rachunek marketu i najpóźniej jutro powinna być zaksięgowana na koncie nadawcy. A w ogóle to przepraszają...

Powiedziałam do Jaśka, że jeśli jego pracodawca równie szybko zareaguje, to najpóźniej do środy powinien dostać pensję. Do tego czasu mogę mu coś pożyczyć.

Wychodziłam z banku, przytrzymując żakiet, bo kurczę, ta gumka od majtek chyba zaczęła wyłazić : - )

9 lutego 2006

Jest dość wczesny poranek, dopiero po dziesiątej. Zjedliśmy właśnie z Kajtusiem śniadanko i każdy zajął się sobą: ja piszę, a mały gra w naszej sypialni na playstation. Tak - trzylatek gra w zupełnie dorosłą grę komputerową i jest nią zachwycony. Oczywiście nie ma tam żadnego zabijania tylko wyścigi samochodowe (to przecież pasjonat aut). Sam odpala sprzęt, wybiera trasę, markę wozu, kolor, kształt spoileru. Startuje, przyspiesza, hamuje, skręca, odpala dopalacze itd. Obsługę dżojstika ma w małym dziecięcym paluszku.

Grę zostawił u nas na przechowanie mój brat na czas ferii zimowych i opustoszałego akademika. Nie wiem tylko, czy dobrze zrobił, bo konsola miałaby się znacznie lepiej zamknęta w jakiejś studenckiej szafie, niż tak eksploatowana przez napalonego siostrzeńca. Ale ja mam przynajmniej dwa tygodnie spokoju...

Trochę mnie męczą wyrzuty sumienia, że dziecko wpada w jakiś nałóg (coś kiedyś na ten temat czytałam, dotyczyło to jednak nastolatków). No ale to przecież tylko parę dni i narkotyk zniknie z domu. Poza tym mamy limity: godzina rano i godzina wieczorem. Czy to za dużo dla trzylatka? Mam takie dziwne przeczucie, że pedagogom i psychologom, którzy opracowują metody wychowywania dzieci włos stanąłby dęba na głowie po przeczytaniu, co się u nas wyprawia. No trudno! Przez chwilę będę bardzo złą matką i tyle! Też mi się coś od życia należy : - )

Dzisiaj ponury zimowy dzień. W dodatku robi się plucha i nie wiadomo, jaką opcję spaceru wybrać: sanki i rower odpadają, a buty zostają podtopione w pierwszej napotkanej kałuży. W dodatku na dnie kałuż cały czas czai się jeszcze lód, więc Kajtek ciągle się wywraca, najczęściej tyłkiem do wody. Tyle dobrego, że nie wyrósł jeszcze zupełnie z zeszłorocznego kombinezonu, bo ciągle wymieniamy ubrania i nastawiamy

pralkę: zielony kostium, pupa w kałuży, pralka, kaloryfer, niebieski kostium, pupa w kałuży, pralka itd.

Teraz mały znowu ma katar i kaszel i sama nie wiem, czy dzisiaj wychodzić. Tak bym chciała wymyślić mu taki superciekawy dzień, ale pula pomysłów wyczerpała mi się jakiś czas temu. No bo wszędzie, gdzie się da, już zrobiliśmy porządki (chata wysprzątana jak nigdy). Przebraliśmy zabawki i oddzieliliśmy stare od tych nadających się jeszcze do użytku. Przejrzeliśmy i uporządkowaliśmy zdjęcia z ostatnich paru lat. Wczoraj bawiliśmy się w szorowanie łazienki, parę dni temu w rozbijanie schabowych; klocki, puzzle i tor samochodowy układaliśmy już chyba tysiąc razy, a kredki, farby i plastelina coś ostatnio maleńtasa nudzą. „Smyk” i kino odpadają ze względu na przeziębienie. Brak mi dzisiaj koncepcji. Jak przeżyć ciekawy dzień? A taki dzień w domu jest bardzo, bardzo dłuugi...

No to może zbudujemy namiot z koców?...

Piotrek wraca codziennie przed dziewiętnastą, a w piątek (czyli jutro) szykuje mu się jakaś impreza w pracy. Jak mi to oświadczył i zobaczył moją minę to się oczywiście wkurzył. No bo to jest takie coś, że raczej nie wypada odmówić, prawie jak służbowy obowiązek, poza tym to nie on wymyślił. On haruje jak osioł, a ja się jak zwykle czepiam itd. itp.

Ja na to, że pewnie on myśli, że każdy chciałby tak sobie poleniuchować w domu jak ja, więc czego TA BABA jeszcze od życia i tego biednego chłopca chce?! A potem... zapaliła mi się czerwona lampka. Bo chyba się trochę zagalopowaliśmy i coś mi podpowiedziało, że zbliża się paskudny kryzysik małżeński i nie można do niego dopuścić, bo wtedy będziemy się czuli tylko gorzej, więc po co?

Najspokojniej jak tylko potrafiłam wysyczałam, że ja to wszystko wiem, bo sama chodziłam do pracy. Potem już całkiem spokojnie powiedziałam, że moja reakcja to nie

kolejna wymówka na złego męża, ale zwyczajnie SAMOTNOŚĆ, z którą czasami nie wiem już, co zrobić... No i chyba jakieś czary - mary podziałały, bo Piotrek powiedział, że doskonale wie, o co mi chodzi, i że sam zaczyna wariować w tym układzie: żal mu mnie, żal Kajtka, jest zmęczony pracą i tą weekendową harówką (już się zaczęły dodatkowe szkolenia), tęskni i trzeba coś z tym zrobić. Zdaliśmy sobie sprawę, że ostatnio mijamy się, tylko rzucając po drodze słowa - hasła: „kup chleb”, „zadzwoń do spółdzielni”, „wypląć z bankomatu”, „biorę samochód”, „długo będziesz w łazience?”, „wrócę później”, „mam dość!”...

Ustaliliśmy jednak, że na razie nie mamy wyjścia - musimy wytrzymać. Potrzebujemy zwyczajnie kasy. Ale jak tylko drugi maluch urośnie na tyle, że będzie go można zostawić z babcią, to urywamy się na tydzień na jakąś wyspę. Sami!!!

Ciekawe, co na to powie babcia, kiedy postawimy ją przed faktem dokonany? : - )

\* \* \*

Wieczorem się zważyłam - 68 kilogramów. Moja normalna waga to 58, ale przed samą ciążą trochę mi się przytyło i startowałam od 60. Czyli na razie przybyło mi 8 kilo, a mam wrażenie, jakby co najmniej 20. Pewnie dojdzie jeszcze jakieś 5 - 6 kg. Nie wiem, jak dają sobie radę kobity, którym przybywa w ciąży 20 - 30 kilo? Ja już czuję się jak jakiś hipopotam, a obcięcie paznokci u nóg przy takim wielkim brzuchu to nie lada wyczyn akrobatyczny. Wszyscy mówią, że jak na siódmy miesiąc ciąży to jestem „malutka”. Już mi w głowie kiełkują pomysły na zrzucenie tych zbędnych kilogramów. Są dwie opcje: albo biegam codziennie rano dookoła stawu obok domu ze słuchawkami na uszach, albo kupuję rower stacjonarny. Zobaczymy, na co znajdę siły po porodzie? Nie mogę już patrzeć na te wielkie uda i grubą

pupę!!! Nie przeszkadza mi to jednak w pożeraniu słodczy : -  
)



11 lutego 2006

Piotrek, a wiesz, że w tym roku kończymy trzydzieści jeden lat? - zapytałam. - Jeszcze dwadzieścia pięć czy siedem to jakoś brzmiało, ale TRZYDZIEŚCI JEDEN to już nie są żarty...

Piotr oderwał nieprzytomne spojrzenie od telewizora, pomyślał chwilę i schował głowę pod koc.

- Marta, co ci odbiło? Moja pierwsza wolna sobota od paru tygodni, a ty od razu z grubej rury! Idź może coś posprzątaj.

- No co? Trzeba kiedyś stanąć przed faktem dokonanym. Już za dziewięć lat CZTERDZIECHA!!! - Bawiło mnie, że był tym chyba jeszcze bardziej przerażony niż ja : - )

- Ostatnio ktoś mi powiedział, że wyglądam na dwadzieścia osiem i tego się będę trzymał.

- Ty na dwadzieścia osiem? Koń by się uśmieł! Skoro jednak ktoś tak cię ocenił, to ja wyglądam na osiemnaście. - I rozkręciłam się: - Przecież zawsze mówią, że jestem dziesięć lat od ciebie młodsza. OSIEMNAŚCIE brzmi całkiem nieźle... - rozmarzyłam się : - ) - No dobra, dobra. Ale tak na poważnie: trzydzieści jeden to chyba nie koniec świata, nie? Przecież dzieciakom będziemy potrzebni w każdym wieku, a poza tym mój ginekolog mówi, że...

- Marta, nie obchodzi mnie, co mówi twój ginekolog!!! Umówmy się, że ja nie mam żadnej trzydziestki, OK?

- No skoro ty nie masz, to ja też nie... - odetchnęłam.

Nieważne, co napisali mi w dowodzie. Ważniejsze, żeby w słowach swojego męża umieć doszukać się komplementu : - )

16 lutego 2006

Co za okropny ból kręgosłupa, łopatek, mostka i żeber!!! Ten mój dzidzius ma już chyba 5 kilo i nie jestem w stanie pomieścić go w sobie. Czuję, jakby coś mnie rozsadzało. Przed nami jeszcze dokładnie dwa miesiące, a ja już tracę sprawność i cierpliwość. Za dwa tygodnie zrobimy USG i jestem bardzo ciekawa, jak duże jest maleństwo. Ostatnio koleżanka urodziła w terminie córeczkę o wadze 2,7 kg, a ja podejrzewam, że mój maluch osiągnął taką wagę już dwa miesiące przed porodem : - ) Co za wielgachne geny! To chyba po tatusiu...

20 biego 2006

Jak zasypialiśmy, młody postanowił poważnie ze mną pogadać.

- Mamo, często w ciemności nie mogę sam spać, bo budzą mnie różne sny.

- A jakie to sny, Kajtuś?

- Śni mi się, gdzie ty jesteś: cy w długim pokoju, cy robis siusiu, cy gdzieś pojechałaś i mnie zostawiłaś?... Nie mogę wtedy spać.

- I pewnie smutno ci wtedy?

- Tak.

- No to pomyśl sobie o czymś przyjemnym, o czymś śmiesznym. No wiesz...

- Ale nie mogę, mamo. Nie lubię tego ciemna. I nie lubię spać sam...

- To może zawołaj dla odmiany tatę? On jest silny i nie będziesz się przy nim niczego bał - zaproponowałam z nadzieją.

- Tata to nie...

Znam argumenty: za krótkie włosy i nie można kręcić loczków, poza tym on po prostu nie jest mamą... Już o nic nie pytam. I co ja mam zrobić? Chyba będę spała z dwójką dzieci...

23 lutego 2006

Wczoraj Kajtek przeżył WIELKI WYPADEK. Na szczęście obyło się bez ofiar. Wieczorem odwieźliśmy Piotrka na Centralny. Pojechał pociągiem na szkolenie do Wrocławia, auto tym razem zostawił do naszej dyspozycji (ku radości obojga: mamy i synka). Było już ciemno, padał śnieg, który natychmiast się topił, na ulicy prawie nic nie było widać, bo plucha ukryła wszystkie pasy, paski i strzałki. No i do tego było dość ciasno, bo to przecież Warszawa.

Jechaliśmy bardzo wolno i ostrożnie. Zatrzymaliśmy się, aby ustąpić pierwszeństwa pieszym, którzy wyłonili się z mroku pobocza, a wtedy usłyszeliśmy mocne gruchnięcie i nieźle nami szarpnęło. Samochód jadący za nami wjechał nam w dupę (upss...). Pierwsza moja myśl: „Całe szczęście, że nie zapięłam pasów”. Druga myśl: „I co teraz?”. Pierwsza stłuczka w życiu - zupełnie nie wiedziałam, jak się zachować i od czego zacząć. Włączyłam światła awaryjne, powiedziałam Kajtkowi, że zaraz wracam i na środku ulicy wysiadłam z samochodu.

W aucie, które siedziało nam na zadzie, zobaczyłam przerażoną młodą dziewczynę. Też nie wiedziała, co robić, bo pierwszy raz. W dodatku - ach, ta potęga szowinistycznych dowcipów! - od razu zauważyłam, że blondynka... Ustaliśmy, że zjeżdżamy na parking po prawej stronie. Nawet się nie darłam ani nie pukałam w głowę, widziałam, jak jej oczy zaokrągląły się z przerażenia, kiedy zobaczyła kierowcę z brzuchem pod brodą, a potem jeszcze trzylatka na tylnym siedzeniu.

Pierwsze nad czym się zastanowiłam, to czy dzidzius jest w porządku. Przemknęła mi przez głowę myśl, że może trzeba jechać na ostry dyżur do szpitala i zbadać się na wszelki wypadek. Ale chyba nic mi nie dolegało. Poza tym przed wyjściem z domu zażyłam nospę i brzusek był całkiem

rozluźniony. Dzidzius najwyraźniej przespał stłuczkę. Potem wypięłam lekko podenerwowanego Kajtka z pasów i wytłumaczyłam spokojnie, co się stało i że tak w ogóle to nic się nie stało. Wysiedliśmy, obejrzelśmy straty i zadzwoniliśmy do Piotrka po instrukcje. Dziewczyna poprosiła, żeby załatwić to bez policji. Nasz samochód był trochę wgięty z tyłu, posypał się też plastik, ale światła na szczęście były sprawne. Przed poważniejszymi stratami uratowała nas mała prędkość.

Ale Kajtek ciągle powtarzał:

- Mamo, ona popsowała nam samochód! Co teraz zlobimy?

Koniecznienie musiał powtórzyć to tacie przez telefon i uspokoił się dopiero, jak Piotr go zapewnił, że samochód jest tylko trochę popsuty i tata, jak wróci, to zaraz wszystko naprawi. A potem tata wziął małego pod włos - poprosił, żeby Kajtek zaopiekował się mamą. No i nasz synek naprawdę się przejął : - )

Z dziewczyną skończyło się na przeprosinach, spisaniu oświadczenia, wszystkich danych sprawcy wypadku i wymianie telefonów. Piotrek monitorował nas przez telefon. A potem zapięłam Kajtka w foteliku samochodowym, sama usadowiłam się na miejscu kierowcy, pożegnaliśmy się z panią i pojechaliśmy do domu.

Wieczorem, kiedy na spokojnie przeglądałam sobie nasze oświadczenie, moją uwagę przykuł PESEL blondynki. Jasna cholera - dziewczyna młodsza ode mnie o OSIEM lat!!! A na oko oceniłam ją na: „taką - młodą - jak ja”. Czy jak będę miała siedemdziesiąt lat i zobaczę nastolatkę, to będę nadal miała wrażenie, że to moja rówieśnica?...

26 lutego 2006

Jest niedziela. My z Kajtkiem jak zwykle sami w domu. Rano mieliśmy kryzys - takie przesilenie i zmęczenie sobą. Kajtek trenował głupa, skacząc za mną i rozciągając mi koszulkę, a ja naprawdę niewiele potrzebowałam, żeby wyjść z siebie. No i ryknęłam zupełnie nieproporcjonalnie do przewinienia. Młody oczywiście od razu się rozplakał i wpadł przy tym w histerię. Krzyczał, że chce do taty i potrzebuje pieluszki do wytarcia oczu (taki nawyk). Kochana mamusia na to, że z taty nici, bo jest daleko i wróci w nocy, a pieluszkę proszę sobie przynieść samemu - nie jestem służącą!!! Do tego ustawiłam radio na cały regulator. Kajtek próbował je przekrzyczeć:

- Ścisz to!!!

Jakby Piotrek zadzwonił w tym momencie z niewinnym pytaniem: „Co u was słyhać moje skarby?“, to zabiłabym go przez telefon. Na jego szczęście nie zadzwonił.

Jak tak sobie wyli: Kajtek i radio, to trochę mi przeszło...

Potem pomyślałam, że jestem wariatką.

A jeszcze trochę później - że jak nic z tym dniem nie zrobimy, to oboje się wściekniemy i wtedy wpadłam na pomysł, że pojedziemy na basen. I pojechaliśmy.

Największy basen w Warszawie, mnóstwo ludzi i my: Kajtek z napompowanym kolorowym kołem ratunkowym, a ja z napompowanym brzuchem. Widziałam te ukradkowe spojrzenia, bo ósmy miesiąc ciąży to już nieprzeciętne zjawisko (nawet dla mnie w lusterku wygląda to dość dziwnie :-)).

Kajtek był zachwycony. Pluskał się w basenie dla dzieci całe półtorej godziny. Ja w tym czasie wylegiwałam się na brzegu albo zanurzałam w wodzie. Trochę się umęczyłam, zanim namówiłam Kajtka na wyjście z wody. Potem ubieranie, suszenie, łyk nospy i jakoś poszło. Do domu

dotarliśmy głodni jak wilki, wtrząchnęliśmy po dwa schabowe z ziemniakami, obejrzelśmy mój niedzielny serial: „Na dobre i na złe”, a potem Kajtek stwierdził, że to był bardzo fajny dzień.

Chyba udało mi się trochę zrehabilitować : - )

Na basenie ogarnęło mnie to samo uczucie, które zawsze mam podczas spaceru w Łazienkach: dookoła same pełne rodziny - czyli dzieci, mamusia i tatuś, który ma zawsze czas - i tylko my z Kajtkiem zawsze sami. Pocieszam się myślą, że może tamci panowie są po prostu bezrobotni : - )

7 marca 2006

Jest za dziesięć trzecia w nocy. Zaczyna się wtorek. W weekend złapaliśmy z Kajtkiem okropne przeziębienie (w sklepie? w barze?). Na razie jeszcze Piotrek trzyma się dzielnie, ale on niedawno miał takiego wirusa i może teraz jest odporny. Mam zatkany nos i bolące gardło, wstałam więc napić się gorącej herbaty. W lekach mam niewielki wybór (wapno, witamina C), do tego miętowe landrynki do ssania, miód, cytryna i sok malinowy. Niewiele ten zestaw pomaga, bo ból z gardła przerzuca mi się na prawe ucho. Pięknie!!! Trzydziesty piąty tydzień ciąży, a ja złapałam takie paskudztwo!

U Kajtka z kolei choroba ma dość dziwny przebieg, bo w niedzielę miał wysoką gorączkę, a poza tym nic. Czekaliśmy, aż z tej gorączki wykluje się coś poważniejszego, ale do poniedziałku temperatura spadła i pozostawiła po sobie jedynie kaszel, który budzi malca w nocy. Na razie lecę go sama. Mam nadzieję, że zwalczy to choróbsko bez antybiotyku... (o, właśnie wołał mamę, żeby się wykaszleć i poprzytulać).

Oczywiście nie mogliśmy sobie spokojnie pochorować, bo wczoraj wymienialiśmy okno na plastikowe w pokoju dzidziusia. Panowie z ekipy remontowej zostawili po sobie centymetrową warstwę pyłu wokół okna i w przedpokoju (i tak uważam, że bardzo się starali pracować jak najczystiej). Pomimo grózb i próśb Piotrka, że mam niczego nie ruszać i poczekać z porządkami do jego powrotu, moja natura okazała się silniejsza: chwyciłam za szmatę! I to mnie zgubiło! Kilka skłonów, zamaszystych pociągnięć najpierw szczotką, a potem szmatą po podłodze i od razu złapała mnie sapka, a brzuch zrobił się jak kamień. W połowie spasowałam i musiałam się położyć całkiem załamana (nie jestem przyzwyczajona, że nie mam na coś sił). Na szczęście Kajtek poczuł taką samą niemoc



i przespaliśmy się jakieś dwie godziny. Jednak końcówka ciąży plus zaawansowane przeziębienie to wybuchowa mieszanka, która zwali z nóg nawet konia (ten koń to niby ja : -)).

Po powrocie z pracy Piotrek sprzątnął resztę.

Najgorsze ze wszystkiego jest to, że od poniedziałku zaczynamy remont mieszkania, żeby zdążyć przed dzidziusiem. Takie snułam w związku z tym plany, nie mogłam się doczekać, a teraz nie mam na ten remont siły ani ochoty. Chyba ograniczę się do wydawania poleceń. A będzie komu, bo do roboty rusza Piotrek, mój brat i tata. Kajtek wyjedzie na ten czas do babci, ale ja wolę zostać w Warszawie. Na wypadek, gdyby poród miał się zacząć trochę wcześniej (a nie chcę rodzić gdzie indziej niż na Karowej).

Już widzę, co się będzie działo: trzech znerwicowanych mężczyzn (bo mężczyźni zawsze, jak coś muszą zrobić w domu, to są bardzo zdenerwowani) i baba, która do wszystkiego się wtrąca. A może spędzę większość czasu na zakupach, bo nic jeszcze nie mam dla dzidziusia?

Trzeba kupić łóżeczko, pościel, ubranka, kosmetyki, materacyk na komodę, wanienkę, pampersy, wózek, fotelik samochodowy, szlafrok i koszulę nocną z „kieszeniami” do karmienia w szpitalu... Niestety nic mi nie zostało po Kajtku, bo wszystko natychmiast rozdawałam albo wyprzedawałam. Poza tym kupowanie takich słodkich rzeczy to przyjemność, której nie chciałabym się pozbawiać. Nowe dziecko to nowe rzeczy i już! Poza tym skoro to ma być dziewczynka, to potrzebuje zupełnie innej kolorystyki : - ) Do wydatków trzeba dorzucić opłatę za poród w warunkach ponadstandardowych: czyli 400 zł za pozwolenie na asystowanie tatusia przy porodzie + 400 zł za znieczulenie zewnątrzoponowe. A wszystko to w państwowym szpitalu. Niby „rodzisz po ludzku”, ale dopiero jak zapłacisz...

Mam nadzieję, że wyrobimy się ze wszystkim do porodu.

28 marca 2006

Porządki po remoncie i zakupy pochłaniają moje wszystkie siły. Pod koniec dnia padam jak nieżywa na kanapę.

Tydzień temu miałam USG i okazało się, że dzidzia nadal jest dziewczynką i to taką niezbyt dużą. Na miesiąc przed terminem jej waga została określona na 2,9 kg. Jest prawdopodobieństwo, że mała może jeszcze urosnąć do 4 kg, ale jest też szansa, że nie. Zobaczymy, jak dokładne są pomiary USG... Wszystkie pozostałe parametry i moje wyniki są w jak największym porządku, dzidziuszek przekręcony już główką w dół, łożysko prawidłowe. Niestety trzeba będzie rodzić naturalnie (trudno się do czegokolwiek przyczepić). Paraliżuje mnie ta myśl, boję się... Na szczęście Piotrek będzie ze mną i to mi daje odrobinę wiary, że będzie dobrze. No i raczej nie mam innego wyjścia : - )

Ostatnio Piotrek żartuje sobie ze mnie, że w nocy przewalam się jak hipopotam z boku na bok, wywołując przy tym trzęsienie ziemi. Odparowałam mu, że jak taki mądry, to niech sam spróbuje przykleić sobie do brzucha balon, wrzucić do niego trzy kilo jabłek, zalać wiadrzem wody, a potem się z tym wyspać. Przyznał się, że dla niego to zupełnie niewykonalne i nie rozumie, jak ja z „tym” mogę funkcjonować. A mogę. W dziewiątym miesiącu wszystkie dolegliwości są już oswojone, już na nic nie narzekam i proszę tylko dzidzię, żeby siedziała jak najdłużej w środku, bo jeszcze nie jestem gotowa na te męki : - )

A tak w ogóle to od jakichś czterech dni jest już prawdziwa wiosna. Dzisiaj było tak ciepło, że chodziliśmy z Kajtkiem w cieniutkich kurtkach i nie nakładaliśmy już rajstop pod spodnie. Fajnie, że świeci słońce, ale baba w ciąży zawsze ma pod górkę. Boję się przesilenia wiosennego, które co roku bardzo mocno odczuwam. Teraz jestem napompowana hormonami i mam nadzieję, że nie dopadnie mnie depresja

wiosenna. Potrzebuję dużo sił, żeby zwalczyć „baby bluesa”, nie mam więc czasu na inny rodzaj depresji!

\* \* \*

Jest 23.30. Piotrek właśnie wrócił do domu i oświadczył, że wszystko przemyślał i w tym roku zaczynamy budować dom : - )

Ja chyba zwariuję!!!

Nie protestuję jednak, postanawiam przeprowadzić życiowy eksperyment i ku zdziwieniu męża tym razem bez słowa sprzeciwu uszanuję MĘSKĄ DECYZJĘ (zwłaszcza że przecież sama ją podjęłam : - )). Nowe dziecko, nowy dom, nowe wyzwania...

A niech się dzieje co chce...

Piotrek jest w szoku. Był przygotowany na walkę : - )

Skąd się biorą siostrzyczki?

1 kwietnia 2006

Wolna sobota. Złożyliśmy dzisiaj łóżeczko naszej na 99% córeczce. Byłam podekscytowana jak mała dziewczynka przed Gwiazdką! Tyle frajdy mamy z kupowania, składania i przymierzania dzidziusiowych gadżetów. Kajetan też chyba dał się wciągnąć w to całe oczekiwanie. Z wielką powagą stwierdził dzisiaj, że teraz jest nas CZTERECH Skierów: mama, tata, Kajtuś i Matylda (dzidzia ma już imię wybrane przez starszego brata po obejrzeniu reklamy jakiejś siusiającej interaktywnej lalki - trudno, zaakceptowaliśmy, w końcu to on odgadł, że dzidzia będzie dziewczynką).

Przy okazji wertowania tematu narodzin przeprowadziłam dzisiaj z małym dość kłopotliwą rozmowę:

- Mamo, a skąd ja się u was wzięłam?

- No... mama z tatą bardzo mocno się kochali, potem tata dał mamie buziaka, od którego w mamy brzuszku pojawiła się mała fasolka. A potem z tej fasolki wyrósł synek Kajtuś i pan doktor wyjął go z mamy brzuszka. Od tego czasu jesteś z nami i bardzo mocno cię kochamy (uff...).

- Aha... Ale tata codziennie, jak wychodzi do pracy, to daje ci buziaka, no to teraz chyba ulodzi się nam jeszcze dużo synów? Tak, mamo?

- To oprócz małej Matyldy chciałbyś mieć jeszcze więcej rodzeństwa?!

- Tak!!!

- O kurczę! - wyrwało mi się. - Muszę pogadać z tatą...

Wpadłam we własne sieci - moja historyjka okazała się zbyt banalna. Muszę pomyśleć nad jakimś bardziej skomplikowanym wytłumaczeniem zjawiska pojawiania się na świecie dzieci : - ) Jest jeszcze szansa, że stanowisko w sprawie dalszego rodzeństwa odmieni się Kajtkowi po przyjsciu na świat siostrzyczki... Zobaczymy, jak to będzie.

Do terminu zostało dwa i pół tygodnia. Zaczynamy więc odliczanie. Mam zakaz rodzenia w następny weekend, bo Piotrek jedzie na ostatnie w kwietniu szkolenie w drugi koniec Polski i na poród z pewnością wtedy nie zdąży. Opracowałam więc scenariusz awaryjny: w pogotowiu są dwie sąsiadki do opieki nad Kajtkiem, właściciel sklepiku, a po 19.00 sąsiad - stary kawaler z pierwszego piętra. Powiedział, że chętnie zawiezie mnie na porodówkę. No i jest mama pod telefonem. Torba z rzeczami do szpitala stoi spakowana i jej widok daje mi spokój i ukojenie. Musi się udać - z Piotrkim czy bez (ale lepiej z!!!).

Tymczasem brzuch mi skacze, dzidzia chyba ma czkawkę.

4 kwietnia 2006

Dokładnie dwa tygodnie do terminu. Pamiętam ze szkoły, że kiedy wszyscy w wypracowaniach pisali, jaka to wiosna jest wspaniała, ptaszki śpiewają, kwiatki kwitną itp., to ja pisałam, że nienawidzę wiosny, bo czuję się fatalnie. Pamiętam to dobrze, gdyż właśnie na wiosnę są moje urodziny i musiałam się z nich cieszyć i fajnie bawić, a nie potrafiłam... Brr!!! Z biegiem czasu trochę mi przeszło, ale pozostał dziwny wewnętrzny strach, jak to będzie w kolejnym roku. I to głupie zdziwienie wszystkich dookoła: „Jak to, nie lubisz wiosny, przecież WSZYSCY LUBIĄ WIOSNĘ!”. Na moje szczęście dożyłam takich czasów, kiedy zaczęło się głośno mówić o wiosennym przesileniu i czuć się źle w taką piękną pogodę jest wreszcie trendy. Wszystko zostało wytłumaczone naukowo, uczucia nazwane i posegregowane, a jak ktoś sobie nie radzi z depresją, to może łyknąć tabletkę i po kłopotach. Mnie wystarczy sama świadomość, że nie jestem wariatką. Połowa globu męczy się tak jak ja i z tego powodu trochę mi lżej na duszy. W tym roku nie ma w ogóle mowy o depresji. Mała Matylda mnie chroni. Gorzej z Kajtkiem...

Kajetan chyba odziedziczył po mnie podatność na wiosenne przesilenie. Dziś rano idziemy umyć zęby i ściągamy w końcu piżamę. A mały krzyczy:

- Nic nie będę mył!!!
- Robaki ci zjedzą zęby, zobaczysz - przestrzegam. - Tak jak na reklamie.
- Niech zjedzą! Nie myję się! Jestem zmęczony!!! No fakt, dopiero dziesiąta rano...
- Chcesz iść na spacer w piżamie? - próbuję z innej strony. - Przebierz się wreszcie. Poza tym dość bajek. - Gaszę telewizor, bo obiecuję mu to już od godziny. Rodzice muszą przecież być konsekwentni.



- Aaa!!! - drze się demon. - Włącz natychmiast ten telewizor!!!

- Kajtek! Jakim tonem ty mówisz do mamy, co?! Kajtek wstaje z kanapy i okłada mnie wściekły pięściami.

- Kajetan!!! Natychmiast się uspokój!!! Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, to wylądujesz w swoim pokoju i będziesz tam siedział sam przez cały dzień. - Ze złości i bezsilności przychodzą mi do głowy tylko takie głupie rzeczy.

- Ta! ta! ta! ta! ta! ta! ta! ta! ta!... - Mały stara się mnie przekrzyczeć. Wystawia przy tym jęzor.

Przychodzi mi do głowy ostatnia przytomna myśl, że krzykiem nic się nie da wskórać. Trzeba wziąć głęboki oddech, uspokoić się i porozmawiać z dzieckiem. Tak jakoś pedagogicznie i nowocześnie. Kucam z wysiłkiem i staram się popatrzeć mu w oczy.

- Kajtuś, posłuchaj mnie. Jak będziesz się zachowywał tak jak przed chwilą i będziesz się do mnie odzywał w ten sposób, to będzie mi bardzo przykro i smutno, że mój synek jest dla mnie taki niedobry - próbuję szantażu.

- I będziesz płakać? - O, to go wyraźnie zastanowiło!

- Tak synku, będę płakać...

Mały w ciszy myśli nad tym, co usłyszał. Obserwuje mnie, a ja mam nadzieję, że coś do niego dotarło.

- A kiedy będziesz płakać? - pyta potwór. - Przecież telaz nie płaczesz.

- No... nie płaczę, bo mam nadzieję, że już się tak nie będziemy kłócić.

- A jak będziemy? - Kajtek draży temat.

- No to wtedy będę płakać...

- No to płacz! Bo ja nie widziałem, jak płaczesz - decyduje mały sadysta.

- Kajtek, czy do ciebie nic nie dociera?...

- Obiecałaś, że będziesz płakać, a nie płaczesz! Oszukałaś mnie!!! Musisz teraz pszepłosić!!!

Biorę gościa za fraki i już bez dalszych tłumaczeń idziemy do łazienki umyć zęby na siłę. Okropna ta wiosna!

17 kwietnia 2006

Wielkanoc - Lany Poniedziałek. Godzina 22.30, oddział położniczy szpitala na Solcu w Warszawie (na Karowej akurat mieli komplet)...

7.47, SMS do Piotra

Wykapałam się, teraz leżę. Skurcze mam co 7 - 8 minut, między skurczami staram się zasnąć : - )) To pewnie potrwa co najmniej cały dzień. Po kolejnym badaniu dam Ci znać. Co u Was?

23.42, SMS do wszystkich, którzy czekali na wieści O 22.30 urodziła się nam Matylda. Jest mała w porównaniu z bratem (3.400 g) i 53 cm długa. Poza tym zdrowa i silna. Pozdrawiam!

00.56, SMS od Piotra Kocham Cię

4.22, SMS do Piotra

Dowieźli nam rodzące i mamy komplet na sali. Bilans dzisiejszej nocy to troje płaczących prawie non stop dzieci, w przerwach między dziećmi dwie chrapiące jak niedźwiedź matki + jedna niemożliwie spocona... Moje dziecko śpi jak anioł, ale hałas i odór na sali powodują, że ja prawie nie śpię. Zabieraj nas stąd natychmiast!!!

20 kwietnia 2006

Matylda jest malutka, słodziutka, na razie bardzo grzeczna i... żółta. Nie, nie, to nie był żaden płomienny romans na delegacji w Tokio : - ) Zresztą nie byłam na żadnej delegacji, nawet w Głusku... Po prostu okazało się, że dopadła nas żółtaczka. Miałyśmy już wyjść do domu, tymczasem muszę czekać, aż przywiozą mi wstrętą lampę z zasłoną z prześcieradła i opaskę na oczy - będziemy się naświetlać. Jutro kolejne pobranie krwi i zobaczymy.

Żał mi małej. I żał mi Kajtusia. Odwiedził nas dzisiaj w szpitalu z Piotrkim i moją mamą. Myślał, że już wyjdę do domu. Było mu bardzo smutno, jak się dowiedział, że musi jeszcze poczekać.

- Do widzenia, mamó. Damy ładę! - powiedział jak bardzo - dzielny - chłopczyk, choć broda mu się trzęsła. A ja myślałam, że się rozkleję, ale przecież nie zrobię tego przy dziecku. Zbagatelizowałam wszystko i od razu odwróciliśmy z Piotrkim jego uwagę: pojedą kupić wielką łopatę do piasku.

\* \* \*

Zaraz będę ryczeć. Na sali leży nas pięć mam i pięć dzidziusiów. I nie ma tak, żeby w jednym momencie płakały mniej niż dwa dzidziusie. Dla zabicia czasu próbowałam obliczyć ile to daje kombinacji, ale spasowałam. Jest duszno, okna i drzwi otwarte, wciąż dzwoni czyjaś komórka, a do dwóch mam non stop przychodzą goście. Atmosfera jak na dworcu kolejowym, a w tym całym zgiełku my dwie z Matyldą - obie ubrane na niebiesko, cichutkie, grzeczne i chyba bardzo mocno zmęczone.

Mój poród z Mati (Matyldą) obalił teorię, że za drugim razem rodzi się łatwiej. Było chyba jeszcze trudniej. Od momentu, kiedy poczułam pierwsze, leciutkie co prawda bóle, do końca porodu minęły 22 i pół godziny! Pobiliśmy rekord

Kajtka, bo wtedy rodziłam tylko 18... Szpital od 5.30, finał - 22.30. Dobrze, że był Piotr. Znowu daliśmy radę razem.

Jeśli zdecydujemy się na trzecie dziecko, to już musi być tylko i wyłącznie cesarka: opłacona, umówiona, zaplanowana... Wiem, wiem, ja z tą cesarką jak zdarta płyta i nic z tego ględzenia nie wynika : - ) Tylko po prostu nie mam siły na kolejne takie przeżycie. Piotrek chyba też.

Ale jesteśmy teraz rodzicami dwójki kochanych dzieci.

Jesteśmy bardzo poważni i dorośli.

Jesteśmy dumni.

Jesteśmy szczęśliwi.

\* \* \*

Muszę się zdrzemnąć, jestem bardzo zmęczona...

21 kwietnia 2006

13.42, SMS do Piotra

Matyldek w końcu mocno zasnął. Chyba ma bóle brzuszka, bo mama złagodziła w nocy zmęczenie sześcioma kostkami czekolady : - ( Poza tym dzisiaj jest znacznie gorzej ze spaniem, ponieważ dzidzia wyssała z mlekiem mamy stres i udzielił się jej niepokój. Dostałyśmy teraz od lekarza czas na wypoczynek, a naświetlamy się o drugiej w nocy. Jutro stąd spadamy!!!

14.10, SMS od Piotra

Kochanie nie smuć się. To już jutro :)

22.58, SMS od Piotra

Uśmiechnij się do mnie... Jutro wszystko się zmieni.

22 kwietnia 2006

10.05, SMS do Piotra

Na obchodzie pani doktor powiedziała, że na oko żółtaczka całkiem znikła, ale czekamy jeszcze na wyniki badań... Kup w aptece krem Alantan i w „Bartku” flaszeczkę spirytusu. Może powiemy Kajtusiowi, że w szpitalu panuje żółtaczka i nie wpuszczają dzieci, jak myślisz?...

28 kwietnia 2006

18.34, SMS do koleżanki A.

Zaliczyłam dzisiaj pierwszy kryzys: Matylda wisiała cały dzień na piersi, a Kajetan wisiał mi na plecach i wściekał się z nudów. Aż poryczałam się ze zmęczenia. Kołowrotek właśnie się zaczął...

19.00, SMS od koleżanki A. (mama dzidziusia młodszego o jeden dzień od mojego)

Trzymaj się! A jakby co, to dzwoń. Chociaż teraz rzadko odbieram, bo też karmię : - ))

2.17, SMS do Piotra (który jak zwykle jest w delegacji) Mała właśnie doszła do wniosku, że dość spania... : - ))



16 maja 2006

Mam 70 kilo żywej wagi i chyba muszę coś z tym zrobić. Ciągłe karmię piersią i przez to chce mi się jeść i jeść, i jeść. Jak tu przestać? Nic na mnie nie wchodzi, na razie spaceruję w ciążowych spodniach. A co mi tam! W końcu jestem zabieganą mamą dwójki dzieci. Ufff...

Tak naprawdę nie spodziewałam się, że z Kajtkiem będę miała więcej roboty niż z dzidziusiem. Mały jest bardzo absorbujący, ciągle muszę na niego patrzeć, tylko z nim rozmawiać. Zrobił się nerwowy, wciąż wywala jęzor na brodę, wpada z byle powodu w histerię, stawia nam bezustannie nowe żądania (ciągle coś mu kup). O rany! Rozumiem, że kryzys kryzysem, ale są pewne granice wytrzymałości. Wymięka jeszcze, kiedy go straszę, że nie będzie już kupowania żadnych samochodzików... Ale zaczął używać słowa na k... i to w całkiem logicznych zdaniach - tak jak dorosły.

A wszystko przez remont... Ciekawe, co to takiego jest w tych bardzo męskich czynnościach, że nawet zwykłe kulturalni faceci zaczynają kłąć?! A mali faceci jak Kajtek, zaraz to podchwytyją i uczą się szybciej niż literek z „Ulicy Sezamkowej”...

W niedzielę na przykład mały oglądał program dla dzieci „Królestwo Maciusia” i obserwował, jak dzieciaki grają w elektroniczną grę polegającą na jak najdłuższym utrzymaniu ludzika na szczycie fontanny. Nagle wrzasnął:

- KURWA, nurek znowu im spadł!

Dopiero po chwili do mnie dotarło, że Kajtek nauczył się wymawiać „r” : - )

17 maja 2006

6.23, SMS do Piotra (wciąż w delegacji, ale już wraca)

Mała w nocy ładnie spała, spokojnie jadła i nawet zwała śmierzącą kupę. Może dlatego, że dostała te kropelki... Chyba wszystko OK. Kup świeże pieczywo i może jakąś wędlinę.

20 maja 2006

14.25, SMS do koleżanki B. (mama Zosi) Wyszłyście już ze szpitala? Co z Zosią? U nas infekcja wirusowa gardła u Kajtka - z zapartym tchem obserwujemy Matyldkę... Poza tym Mati ma kolki i wieczorem płacze dwoje dzieci, a każde chce do mamy... : - ((

27 maja 2006

20.45, SMS od koleżanki A.

Pozdrawiamy gwiazdę dzisiejszej „Gazety Wyborczej” -  
Matyldę : - ) Moja mała cały czas wisi na piersi. Co u Was?

21.20, SMS do koleżanki A.

Od dzisiaj rozdajemy autografy : - )) U nas karmienie  
nocne co trzy godziny, a dzienne różnie, ale na szczęście nie  
non stop. Mamy problem innego rodzaju, za to olbrzymi - z  
Kajetanem. Zrobił się złośliwy, nerwowy, hałaśliwy, wciąż  
naburmuszony i zły. Wiemy, że to kryzys związany z siostrą,  
ale powoli brakuje nam sił... Chyba powędrujemy do  
psychologa...

28 maja 2006

Codziennie modlimy się o kupę Matyldy. I o chwilę bez ataków złości Kajtka. Wierzymy, że nadejdzie w końcu taki dzień, w którym nasze modlitwy nie będą już potrzebne.

7 czerwca 2006

Każdego ranka budzę się z duszą na ramieniu i zadaję sobie pytanie, czy dam dzisiaj radę. Każdego wieczora jestem z siebie dumna, że przeżyłam kolejny dzień. Brzmi to jak zeznania torturowanego z więzienia o zaostrzonym rygorze, ale coś w tym jest... : - )

Są różne dni. Czasami Matyllda śpi jak aniołek, budzi się tylko na karmienie lub na krótkie, spokojne czuwanie. W takie dni mogę dużo czasu spędzić z Kajtkiem, zapewnić go, że nic się nie zmieniło i że teraz jest dla mnie równie ważny, jak przed narodzinami siostry. Kajetan teraz bardzo mocno takich moich zapewnień potrzebuje. Po urodzeniu się Matylldy młody przestał sam jeść, sam myć zęby, ręce, już nie chce się sam ubrać ani rozebrać. Nie pomagają prośby, groźby, szantaż ani przekupstwo. On chce, żeby mama się przy nim krzątała tak samo, jak przy dzidziusiu. Czasami uda mi się go do czegoś nakłonić, ale częściej kończy się to moimi ustępstwami, tak jakbym „obrabiała” dwulatka albo gorzej. Zauważyłam jednak, że przy maksimum cierpliwości z mojej strony Kajtek robi z dnia na dzień maleńkie postępy, a im więcej przytulania, tym lepsze efekty.

No ale są też dni, kiedy po ciężkiej nocy (karmienie co godzinę, pobudka o piątej rano) Matyllda płacze, marudzi, prawie nie śpi, a ja nic nie mogę zrobić poza noszeniem jej na rękach. W takie dni Kajtek siedzi do południa w piżamie, na śniadanie je słodyczne samodzielnie wygrzebane z kuchennej szafki, a dawka telewizji jest wręcz promieniotwórcza. Nie wspomnę już o tym, jak wygląda cały dom: niepozmywane naczynia, nieposłane łóżka, brak obiadu itd. Koszmar, kataklizm, tornado czy nie wiem jeszcze, jak to nazwać. Kiedyś po takim dniu Piotrek wrócił z pracy i zastał mnie zalaną łzami z bezsilności i zmęczenia...

12 czerwca 2006

Zaraz chyba wpadnę w depresję. Po pierwsze dlatego, że jestem siwa. Tak, mam trzydzieści jeden lat i połowę włosów na głowie mam już siwych. Pierwszy taki wysyp zdarzył mi się po ciąży z Kajtkiem, a teraz moja czupryna zaczęła wyglądać całkiem kiepsko. Niestety, nie obędzie się bez farby. Poza tym siwe włosy to brzmi jak starość... Faj!!! Precz takie myśli ode mnie!!!

Zaczęły się też bardzo gorące dni, komary, meszki i pot. Upał w mieście to nic przyjemnego. Matylda w dusznym wózku budzi się w czasie spacerów i płacze, Kajtek jej wtóruje, bo go strasznie gryzą komary w parku, a ja co chwila tracę siły i cierpliwość.

Poszliśmy dzisiaj na piknik do przedszkola Kajetana. Oprócz tego, że w ogródku przedszkolnym było dużo ludzi i za to prawie wcale powietrza, to jeszcze jakiś didżej od siedmiu boleści puścił muzykę na cały regulator. Mała mi się wystraszyła, spłakała i nie chciała uleżeć w wózku. W dodatku ugryzł ją komar w nóżkę. Kajtek z kolei nie chciał zrobić kroku beze mnie i wcale nie interesowała go integracja z dziećmi, tylko przeliczanie odległości od mamy. Zgrzałam się, jakbym pracowała na budowie w samo południe. Niestety, nie dałam rady wytrzymać w takich warunkach: nie zwracając uwagi na protesty Kajtka, zarządziłam odwrót i w połowie zabawy poszliśmy do domu. Biedny starszy brat, przez małą siostrzyczkę ominęła go taka impreza! Nawet nie miał okazji, żeby się oswoić i nabrać odwagi do udziału w jakimś konkursie. Od tygodnia przeżywał ten przedszkolny piknik, a tu taka klapa. Szkoda mi małego...

Brakuje mi czasu na samą siebie. Jestem zaniedbana jak robotnica z pegeeru. Nie słucham muzyki, nic nie czytam (oprócz „Tele Tygodnia”), nie używam kosmetyków, nie przeglądam się w lustrze, nie delektuję się herbatą. W ogóle

niczym się nie delektuję, bo delektowanie za długo trwa. Dzisiaj wyszłam na spacer w poplamionej domowej bluzce i kapciach (zorientowałam się dopiero w parku). Aby tylko wytrzymać dwa lata, potem będzie lżej...

Chyba ze zmęczenia bołą mnie też stawy. Ale że wszystkie żele przeciwbólowe przenikają do mleka matki, no to niczym się nie leczę. Może samo przejdzie...

Takie jakieś letnie przesilenie...

I jeszcze chce mi się spać...



14 czerwca 2006

Chyba sprawdza się powiedzenie, że drugie dziecko jest nagrodą za pierwsze (mówię to bardzo po cichutku, bo wiadomo, że u takiego niemowlaka nie ma jeszcze nic stałego i pewnego). Ale moje dzieciątko za trzy dni skończy dwa miesiące i w sumie mogę powiedzieć, że jakoś to leci... Pierwszy powód do zadowolenia, to że kończą się nam kolki jelitowe.

Ale jest też drugi i ważniejszy - Kajtek zaczyna lubić swoją siostrę. Ostatnio, kiedy w przedszkolu zbiegły się wokół nas dziewczynki, aby obejrzeć dzidziusia (byliśmy na pasowaniu na Żaczka - Przedszkolaczka), Kajetan zaczął krzyczeć na dzieci:

- To nasza siostra! Moja i mamy!!! I bądźcie cicho, bo ją obudzicie!!! - I zakołysał przy tym wózkiem z takim rozmachem, że omal sam jej nie obudził : - )

18 czerwca 2006

Tak sobie przeczytałam o wcześniejszych depresjach i trochę się sobie dziwię. Bo dzisiaj chce mi się śpiewać, tańczyć, działać. Tak jakoś mi dobrze. Za nami długi weekend (Boże Ciało) i Piotrek był cztery dni w domu, co dało mi trochę oddechu. Poza tym jestem wyspana, bo ostatnio Matyldek ślicznie śpi w nocy: zasypia koło 21, a budzi się dopiero o 8 rano. W międzyczasie mamy TYLKO DWA karmienia. Takie dziecko to anioł!!! Jak sobie przypomnę małego Kajtka - dziesięć albo i więcej nocnych pobudek, brrrr...

Byłam wczoraj na zakupach (to też dobry sposób na poprawę humoru). Mój aktualny rozmiar to - o zgrozo! - 42. Prawie nic na mnie nie pasowało, większość fajnych ubrań jest produkowana w moim ukochanym starym rozmiarze 38...

Kupiłam sobie jednak bardzo fajną maskującą tunikę w wojskowym kolorze, a radość z tego zakupu przyćmiła mi niesmak związany z wielkością : - )

Aha! I byłam wczoraj u swojego ginekologa - emeryta.

- Pani Marto - powiedział - muszę przyznać, że bardzo ładnie pani wygląda.

Tego mi było trzeba! Szarmanckiego faceta starej daty, który wie, jak podnieść kobietę na duchu.

\* \* \*

A dzisiaj poszliśmy wszyscy na plac zabaw. Kajtek zauważył wózek dla bliźniaków:

- Mamo, oni mają dwa wózki!

Musiałam mu wytłumaczyć, że czasami mamie rodzi się dwoje dzieci i to są bliźniaki. Wtedy mama potrzebuje dużego wózka, żeby wozić w nim tę dwójkę.

Kajtek pomyślał chwilę i przypomniał sobie naszą ostatnią rozmowę o znakach zodiaku - dowiedział się wtedy, że tata i on mają taki sam znak: Bliźniak.

- A jak ja z tatusiem byliśmy mali, to też wozilaś nas w takim dużym wózku?...

Podobno Bliźniaki mają to do siebie, że nie zapominają języka w gębie i umieją się odnaleźć. Coś w tym jest : - )

## Pierwsze wakacje Matyldy

22 czerwca 2000

Jak sobie przeczytam, jaki to wykazywałam stan euforii tydzień temu, to trochę się sobie dziwię... Jak to możliwe?...

Dzisiejszy dzień to koszmar. Upał 30 stopni (chyba w głębokim cieniu, bo na słońcu było co najmniej 45) i oczywiście ja z dziećmi. Walczyłam o przeżycie każdej minuty : - )

Już na początek dnia Matylda miała rewelacje żołądkowe (po naleśnikach czy zupie pomidorowej?...), a więc cały czas nosiłam ją na rękach, bo płakała. I tak cztery godziny, a jak zasypiała, to dosłownie na pięć minut. Kajtek cały poranek siedział sam, a jak próbował mnie namówić do jakiejś zabawy, to jeszcze dostawał ochrzan od zmęczonej mamuski, że zawraca jej głowę głupotami (żał mi go teraz, niestety jestem jedna, a ich dwoje...). Potem zrobiłam dzieciom spacer w samo południe (trochę się zachmurzyło i pomyślałam sobie, że będzie chłodniej. Poza tym to jedyna godzina, kiedy udaje mi się zgrać oboje na wspólne wyjście - niestety w parku zaświeciło nam niemiłosiernie piekące słońce.

Matylda spłakała się, bo było jej za gorąco w wózku, a Kajtek ryczał, bo mama za szybko szła i on nie nadążał.

A ja w panice pędziłam do domu jak szalona i łzy leciały mi ciurkiem po zgrzanym policzku. Myślałam sobie wtedy: „Niech mi ktoś pomoże, błagam, NO NIECH MI KTOŚ POMOŻE!!!”. Niestety nikt nie pomógł, a ja jakoś przeżyłam. W domu na szczęście miałam już gotowy obiad - Kajtek zjadł przy bajce i trochę się uspokoił. Matylda przyssała się do piersi i zasnęła na dwie godziny (co za ulga!), a ja mogłam wziąć prysznic.

Poprosiłam mojego brata, żeby jutro przyjechał do nas chociaż na godzinę. Jak pomyślę sobie o kolejnym takim dniu z życia nadzorcy dwóch potworków, to skóra mi cierpnie ze strachu.

A w telewizji znowu przepowiadali upały...

1 lipca 2006

Uratowały mnie arbuzy. Od kiedy jem arbuza, Matylda nie ma żadnych problemów z wypróżnianiem. Jest przez to spokojniejsza i lepiej śpi. Mogę ją wtedy bardziej kochać : - )

Właśnie uzmysłowiłam sobie, że siedzę sam na sam z moją dwójką już sześć tygodni. Tak - całe sześć tygodni temu wyjechała moja mama. Już dzień później myślałam, że tego nie przeżyję, a tu proszę - zbierało się półtora miesiąca. Przeżyłam!

Piotrek ostatnio uregulował sobie troszkę pracę i wraca do domu codziennie nie później, niż o osiemnastej. Jednak być sam na sam z własnymi dziećmi nawet do osiemnastej to prawie jak cała wieczność (osobiście czasami wołałabym rozładować tonę węgla : - )). Wie to tylko ktoś, kto to przeżył.

Dzisiaj sobota, a w poniedziałek przyjeżdża znowu mama. Będzie u nas przez dwa tygodnie, a potem na cały miesiąc my jedziemy do niej. Już nie będę sama - hurra! hurra! hurra!

Z tymi moimi dzieciakami to jest bardzo dziwnie. Bo niby źle i ciężko, a dobrze. Na przykład dzisiaj: jest godzina dwudziesta pierwsza, dwoje dzieci słodko śpi, naczynia pozmywane, a ja wykąpana popijam koper włoski (na wszelki wypadek) i oglądam sobie film na TVN-ie. W dodatku jestem sama, bo Piotrek pojechał do Pragi na jakieś tam szkolenie (wraca za tydzień). I jest błogi spokój.

Co prawda mieliśmy dzisiaj chwile kryzysowe, bo jak wyszliśmy na popołudniowy spacer, to mała się rozplakała i chciałam już wracać do domu. Kajtek namówił mnie jednak, żebyśmy pomimo ryku Mati poszli do parku nakarmić kaczki. Uległam, niosąc dziewczynkę i popychając przed sobą pusty wózek. Ręce mi zdrętwiały, zanim znaleźliśmy dogodne miejsce do karmienia Matyldy, a jednocześnie do zabawy dla Kajtka. Spoczęliśmy pod drzewem, po którym łąziło mnóstwo czerwonych żuków - to chyba one zainteresowały małego.

Matylda nakarmiona w końcu zasnęła, a my poszliśmy sobie na lody. Dzień był chłodniejszy niż ostatnie upały, a więc spacerowało się nam całkiem fajnie. Do domu wróciliśmy po dziewiętnastej. Kajetan został natychmiast wykąpany i „załadowany” przed telewizor na bajkę (na której zresztą usnął), a Matylda załapała na spacerze tak mocny sen, że postanowiłam wykąpać ją na śpiąco. Mała tylko rozejrzała się cichutko po łazience, uśmiechnęła się do mnie trochę nieprzytomna, a po sowitej porcji pokąpielowego mleczka znowu usnęła. Ciiicho... Wolę nie zapeszać. Udaję, że takie wieczory to norma. Wysłałam Piotrkowi SMS - a z relacją o sytuacji w domu. Pogratiulował mi.

A! Wróciłam do „Newsweeka”. Czasami udaje mi się przez tydzień przeczytać choć jeden artykuł. Niestety przede wszystkim jestem teraz fabryką mleka, przytulanką, psychologiem, przedszkolanką, kucharką, sprzątaczką i wymyślaczką (to taki ktoś, kto wymyśla różne patenty na przetrwanie dnia : -)). Ostatnio żałowałam, że nie wyrosła mi jeszcze jedna ręka na plecach i cztery dodatkowe na nogach. Ostatecznie zadowolilibym się sześciorą jak mucha - fuj : - ) Może wtedy dawałabym sobie lepiej ze wszystkim radę...

Ale już się nie miotam, nie narzekam, nie boję. Przywykłam, oswoiłam, czasami mi z tym nawet dobrze.



15 lipca 2006

Piotrek wywiózł nas do moich rodziców. Potem wrócił do Warszawy. Zobaczymy się dopiero za miesiąc. Zobaczymy, jak to będzie...

Mówi dziadek do Kajetana:

- Kajtuś, zostaw u nas Matyldę. Niech pomieszka z babcią i dziadkiem. Będziesz miał trochę spokoju w swoim domu. Co ty na to?

- A jak ty ją nakarmisz dziadku?

- No, też mam cycuszki, to dam jej trochę mleka. I babcia ma...

- Ale to musi być mleko bez konserwantów, a nie takie stare jak twoje!!!

\* \* \*

Któregoś dnia wkurzyłam się na głupkowane zachowanie Kajtka i postanowiłam wziąć go sposobem. Mały często był zblazowany i w kółko powtarzał: „nie chce mi się”. Wymyśliłyśmy z babcią, że powiesimy na lodówce dużą kartkę, na której będziemy zapisywały każde takie powiedzonko. Za jedno „nie chce mi się” będzie jedna odmowa bajki, loda, mamby itp. Potem zawołałam Kajtka i zaczęłam tłumaczyć mu zasady tej gry. Mały znudzony głędzeniem i upominaniem popatrzył tylko na mnie jak na jakiegoś dziwoląga i powiedział:

- Nie chce mi się tego słuchać.

Potem pobiegł do babci, krzycząc:

- Niechcem się, niechcem się, niechcem się, niechcem się, niechcem się, niechcem się, niechcem się!!!  
Babcia, dlaczego nie zapisujesz? Zaraz się pomylisz!

Wynalazek okazał się bezskuteczny, bo młody w pierwszym dniu zarobił na najbliższe dziesięć lat abstynencji...

\* \* \*

Moje starsze, kochane dziecko budzi się któregoś ranka na materacu w pokoju dziadków i wyciąga w moją stronę obie rączki. Instykt macierzyński podpowiedział mi, że spragnione czułości dziecię chce się poprzytulać do mamy. Pędzę więc co sił w nogach i mocno ściskam mojego aniołka. Nagle słyszę pełne jadu syczenie:

- Dlaczego ty się przytulasz?! Chciałem tylko krem!!! Mam przecież suche ręce!!!

Taki to jest Kajtuś...

Rano wybrałam się z dziećmi do skansenu. To znaczy zwiedzaliśmy sobie relikty komunizmu - stare przybłokowe place zabaw, na których i ja się kiedyś bawiłam.

Jeden plac szczególnie ohydny znajdował się tradycyjnie w sąsiedztwie cuchnącego śmietnika. Na środku stała metalowa, zardzewiała podwójna zjeżdżalnia. Też chyba stuknęła jej trzydziecia, bo blacha była wyżarta, poodginana i chropowata. Zjazd z takiego czegoś w najlepszym wypadku mógł skończyć się rozcięciem nogi. Poza tym zjeżdżalnia była wysoka, a wchodziło się na nią po stromej metalowej drabinie. Na szczycie ziała dziura, bo deski służące za podłogę zostały dawno wyrwane. Obok śmiercionośnej zjeżdżalni stała piaskownica obmurowana cementem, a dalej cztery metalowe niemiłosiernie skrzypiące huśtawki. Pozwoliłam Kajtkowi pohaścić się na jednej z nich, tłumacząc, że jest tu zbyt niebezpiecznie na jakąkolwiek inną zabawę.

Nagle na plac zabaw wbiegło kilkoro dzieci. Sprytnie wdrapali się na szczyt zjeżdżalni i każde uczepliło się jakiegoś swojego pręta. Oto rodzina odjeżdżała swoim nowoczesnym samochodem terenowym na plażę. Samochód był w sam raz: pojemny i wysoki, na wszystko można było patrzeć z góry. Co za komfort jazdy! Silnik pracował cicho i równomiernie, a rodzinka gadała sobie o różnych rzeczach: podziwiali pogodę i widoki za oknem. Potem wóz się zatrzymał. Każdy sprytnie

zjechał na butach w dół ślizgawki i omijając zardzewiałą blachę, zeskoczył na trawę.

Dzieciaki były nad morzem. Obsikany przez koty i psy piasek z piaskownicy okazał się czystą dziką plażą. Rodzinka kąpała się w morzu, skakała do wody na główkę albo na bombę (piasek jako atrapa wody amortyzował skoki). Potem wszyscy wypoczywali na wielkim leżaku (połamana ławka będąca ulubionym miejscem okolicznych narkomanów) w cieniu palmy (dzika jabłotka, która jakimś cudem przeżyła). Zapach śmietnika mieszał się ze stęchłym odorem zgniłych jabłek, które spadły z jabłotki, zanim całkiem dojrzały. Dzieciaki jednak w ogóle tego nie czuły.

Byliśmy z Kajetanem w szoku. To miejsce odmienione dzięki dziecięcej wyobraźni stało się od tej pory ulubionym celem naszych spacerów. Kajtuś był zachwycony nowymi kolegami, a także magią wymyślania i upiększania rzeczywistości. Nie wspomnę o tym, że była tam też dziura w płocie, przez którą można było prześliznąć się do ogrodu należącego do biblioteki. Pani bibliotekarka, jak tylko namierzyła dzieciarnię, to zaraz ją stamtąd wyganiała.

I wcale nie oznaczało to końca zabawy, to był jeden z najważniejszych jej punktów! Co to była za adrenalina dla mojego synka : - )

\* \* \*

Któregoś dnia rozmowa z Kajtkiem:

- Mamo, a co to jest? - Kajetan oglądał poszczególne części plastikowego zielonego motoru - prezentu od dziadka.

- Rura wydechowa.

- A to?

- Pojemnik na bagaż. - To?

- Lusterko do obserwacji, co się dzieje z tyłu.

- No a to?

- To bak na benzyne.

- Przecież jest dziurawy! - Faktycznie od spodu ziała wielka zielona dziura.

- No ale to tak na niby bak na paliwo, trochę źle zrobili w fabryce.

- I teraz jak tu wlać benzynkę?

- Będziesz się bawił tak na niby, że coś tu tankujesz.

- Ale tam na dole na niby mi wszystko wycieknie...

15 sierpnia 2006

Wczoraj wieczorem przyjechał Piotrek. Kajtek jest w euforii: ciągle całuje tatę, przytula się i mówi, że się tak bardzo stęsknił. Matylda jak zwykle uśmiechnęła się na widok twarzy, która uśmiecha się do niej. Piotrek mówi, że to zupełnie inne dziecko - bardzo urosła i robi rzeczy, których nie umiała, kiedy tata nas żegnał: śmieje się na głos, główkę trzyma jeszcze pewniej niż miesiąc temu, gaworzy, rozmawia, tak śmiesznie łapie się za nóżki i przyciąga do buzi - chce je zjeść : - ) Wciąż jest piękna - oczy ma jeszcze większe i jeszcze bardziej niebieskie. Podobna do brata.

Patrzę na nich i jestem taka dumna ze swojej rodziny. Boli mnie kręgosłup, coś kręci w obu kolanach, jestem niewyspana, nieuczesana, grubsza niż zwykle i cała w siniakach, ale jestem dumna... Po prostu jestem tak cholernie z nich wszystkich dumna! I obok bólu czuję wokół siebie tak dużo miłości. Bo chyba o to w tym wszystkim chodzi: o to poczucie miłości. Tak, chyba tak. Dziś wieczorem wracamy do Warszawy...

17 sierpnia 2006

Wybrałam się z dziećmi na spacer. Matylda okropnie wyła, bo ostatnio przestało jej się podobać leżenie w wózku (dlaczego w wieku czterech miesięcy dzieciom wydaje się, że są już dorosłe?). Kajtek z oporem założył adidasy, bo tradycyjnie nie chciało mu się nigdzie iść. W dodatku ciągle pokrzykiwał w stronę Matyldy:

- Cisza! Cisza! Cisza! Ciszaaa!!!

Jak już wywlokłam cały mój majdan z klatki schodowej, uprzytomniłam sobie, że zapomniałam dzisiaj umyć zęby i się uczesać. Byłam też niemiłosiernie spocona. Za późno na poprawki, ale postanowiłam do nikogo za blisko nie podchodzić : - ) Byle tylko wywietrzyć dzieciaki.

W międzyczasie zaczął wiać wiatr i zrobiło się pochmurno. Jednak za dużo wysiłku kosztowało mnie zorganizowanie wyjścia, żeby zaraz wracać. Brnęliśmy twardo w stronę parku - dokładnie w przeciwnym kierunku niż pozostali przechodnie. Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta w biurowym „mundurze” biegła do samochodu, osłaniając teczkę z dokumentami przed pierwszymi kroplami deszczu. Trochę dalej pani emerytka na wszelki wypadek rozłożyła już parasol. Pan listonosz w pośpiechu dostarczał przesyłkę do osiedlowego sklepu, a młoda para w superfajnych ciuchach szukała schronienia pod parasolem ulicznego ogródka z piwem. W powietrzu czuć było grozę : - )

- Mamo, chyba zaraz będzie deszcz - burknął Kajtek.

- No to co?! Nie roztopisz się! Mamy kurtki pod wózkiem. - Byłam chyba trochę opryskliwa, drażniło mnie, że Mati nawet na podwórku nie chciała się uspokoić.

Zaczęłam mocniej telepać wózkiem.

I nagle się rozpadało.

Włożyliśmy kurtki z kapturem, zasunęłam budkę w wózku i przykryłam go folią przeciwdeszczową. Nie przerywaliśmy spaceru.

Wpadło mi do głowy, jak rozweselić Kajetana:

- Mały, a może masz ochotę poskakać po kałużach? - Palicho! Najwyżej wrzuci się go do pralki : - )

- Tak! Tak! Tak!!! - To był strzał w dziesiątkę.

Kiedy krople deszczu zaczęły tarabanić w wózek, Matylda w końcu zamilkła. Przez chwilę słuchała z zaciekawieniem, aż w końcu powieki opadły na jej słodkie oczka i zasnęła. Ufff... Jaka cisza! Dzieciaki zneutralizowane na jakiś czas, mogę posłuchać własnych myśli.

Dlaczego ludzie uciekają przed deszczem? Przecież deszcz to tylko woda, a woda to życie... Moje dni są jak spacer w deszczu - wciąż mam nadzieję, że w końcu zaświeci słońce. No i deszcz jest fajny przede wszystkim dlatego, że po nim zawsze wychodzi słońce. Deszcz ma słońce wpisane w swoją naturę. No a bez deszczu nic by nie było...

I tak spacerowaliśmy, spacerowaliśmy i spacerowaliśmy.  
A potem przestało padać.